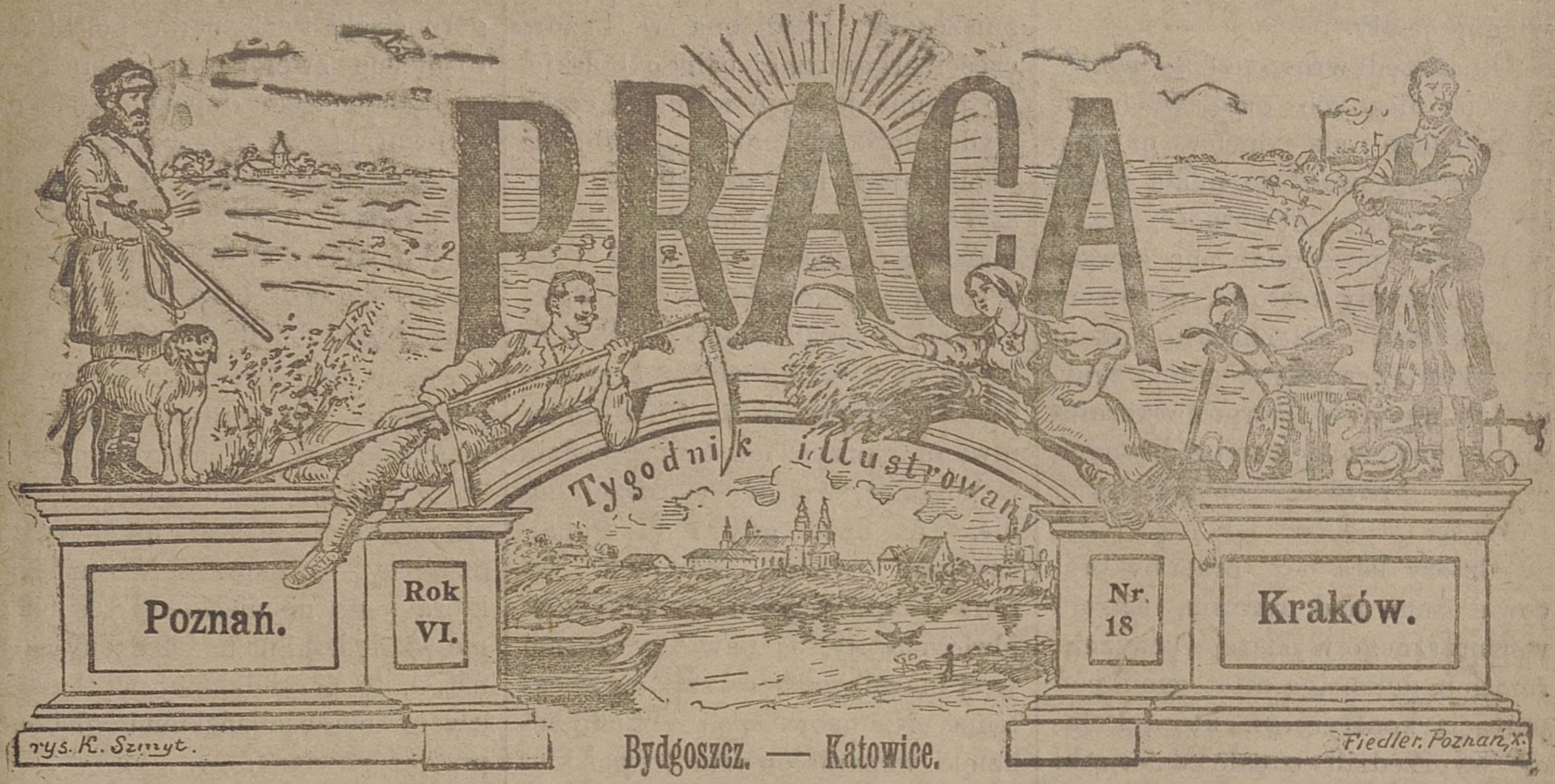
Niedziela, dnia 4-go Maja 1902 roku.



Redakcya i Administracya: Poznań, ulica Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

W rocznicę 3 maja.

Nieszczęsnym jest naród, który legł na polu chwały, walcząc daremnie o swoje prawa z wrażą przemocą. Ale stokroć nieszczęśliwszy ten naród, który żyć nie przestał a w przeszłości swej nie widzi chwil jaśniejszych, który na karcie swej dziejowej nie może odnaleść idei wielkich, jakby gwiazd przewodnich, co rozświetlają przyszłości mroki i wskazują drogi, kędy dążyć należy. Tak nieszczęśliwym naród polski nie jest.

Trzykrotny rozbior Ojczyzny, tylokrotne daremne walki wyswobodzenia, zakończone coraz dotkliwszym pogromem, niezliczone klęski, krzywdy i prześladowania, które na nas padały zwiększającym się ustawicznie ciężarem, byłyby może na proch skruszyły zwątloną i zmitrężoną siłę naszą narodową, gdyby nie to, że nie sam ból tylko i gorzka, twarda dola pozostała nam w spuściźnie z lat dawniejszych, lecz także myśli wzniosłe, świetlane, dla których żyć, działać i poświęcać się warto.

A najświetniej promienieje nam myśl narodu, myśl polska, myśl nasza, z tej doby właśnie, w której blaski narodowej naszej świetności na tak długo przygasły, a słońce wolności chyliło się już ku zachodowi. Właśnie wtedy, gdy horyzont polityczny Polski zachmurzał się złowrogo, gdy chciwi zdobyczy sąsiedzi głosili fałszywie przed światem, że naród nasz to trup martwy, nie zdolny już do życia, nie zdolny do żywotnych, zbawczych politycznych idei — wtedy to właśnie myśl narodowa polska, przygotowywana długo i ukrywana przed oczyma najezdzców, wybłysła nagle, rozświetlając mroki, jakie zawisły nad naszym krajem, zaprzeczając przed światem kłamstwom głoszonym przez wrogów i uwieczniając się jasnym znakiem, że naród nasz chciał żyć, mógł żyć i powinien żyć niezawiśle. Ta myśl wielka, promienna — to konstytucya dnia 3-go maja 1791 w Warszawie ogłoszona.

Nikt nie zaprzeczy, że od dnia zgonu ostatniego z Jagiellonów, króla Zygmunta Augusta, a więc już całe dwa stolecia przed ostatecznym upadkiem Rzeczpospolitej Polskiej, źle się dziać poczęło w narodzie naszym. Po złotej epoce, w której dobrobyt kraju jednoczył się z polityczną potęgą a cywilizacyjna powaga narodu polskiego z rozkwitem oświaty i wiedzy, — nastały długie lata politycznego i duchowego upadku. Znaczenie Polski na zewnątrz słabło, a wewnętrzny ustrój psuły coraz głębiej zbytki, samolubstwo, lekceważenie władzy królewskiej i potrzeb kraju, pogarda dla nauki. Był to czas ciężkiej narodu choroby. Ale wśród wzmagającej się niemocy pozostawało zawsze dość pierwiastków zdrowych w narodzie, ażeby przetrwać przesilenie chorobliwe i ażeby z nich odrodziła się potęga nowa, młoda, jeszcze bardziej świetna i pełna chwały.

Nie słuchał naród strasznych przepowiedni złotoustego Skargi, 200 lat przed upadkiem głoszonych, ale nadszedł czas, w którym najlepsi, najszlachetniejsi i najświatlejsi synowie Ojczyzny za protekcyą króla Leszczyńskiego skrzę-

tnie i energicznie pracować poczęli nad dziełem odrodzenia tych sił, co skutkiem choroby w bezwład popadły.

I nadszedł wreszcie czas, w którym po licznych przejawach odradzającego się ducha narodu, zadokumentować się miała przed światem jego żywotność, czas, w którym paść miały na zawsze stare przesądy kastowe, w którym samolubstwo szlacheckie miało ustąpić miejsca poświęceniu, wzgarda lub nienawiść stanowa zbrataniu, a uprzywilejowana z dawnych czasów krzywda obywatelskiej równości.

Cztery lata bez przerwy pracował sejm nad reformą ustroju wewnętrznego w naszej Ojczyźnie, reformą, dokonaną ostatecznie pod postacią konstytucyi, którą Polacy wyprzedzili o całe dziesiątki lat przodujące dziś światu ucywilizowane narody.

Zniesienie nieszczęsnego „liberum veto“ i samowoli szlacheckiej przy wyborze królów, dziedzictwo tronu, wyzwolenie włościan i oddanie ich pod opiekę rządu, obdarzenie przywilejami mieszczaństwa, nadanie samorządu miastom, ustanowienie wojsk stałych, wolność dla wszystkich cudzoziemców wstępujących na ziemię polską — oto w głównych zarysach pamiętne dzieło, jakiem na owe czasy żaden inny naród pochlubić się nie mógł. Akt konstytucyi ogłoszono d. 3 maja 1791, a w tej uroczystej chwili szlachta z ludem a król z narodem całym wśród dźwięku dzwonów i okrzyków radosnych witali wschodzącą odrodzin jutrzenkę, wierząc, że zgoda wszystkich stanów, że miłość i równość bratnia niezawodną będzie zbawienia rękojmią.

Zachmurzyła ręka nieprzyjacielska, zdradliwa i żądna zdobyczy, to słońce nadziei wschodzące nad ziemią polską, uniemożliwiła błogie owoce tej ofiary z przywilejów, jaką szlachta po grzesznych latach samolubstwa złożyła na ołtarzu Ojczyzny, rozcząstkowano ciało narodu, w którem żyć i władać poczęła młoda, zdrowa dusza. Ale ta myśl wielka, objawiona w wiekopomnej konstytucyi, nie zniszczała! Żyje ona w każdej części organicznej całego polskiego plemienia, żyje w nich i coraz wydatniejszem bije tętnem, żyje, pobudzając nas do obrony naszych ideałów, do otuchy, że nie marnieją narody, co myśl taką z siebie wydać zdolne, do nadziei i wiary, że myśl, co natchnęła konstytucyą 3 maja, rozchmurzy widnokręgi mroczne nad polskiemi niwami i przyświecać nam będzie w pogodniejszej, szczęśliwszej dobie. A dziś, gdy nam zapalczywość wraża odmówić by rada wszystkiego, uszczuplić dziejowej chwały, ba nawet w czarnej swej niewdzięczności szydzić z ocalenia Niemców pod Wiedniem dzięki wspaniałomyślności polskiego monarchy i polskiego rycerstwa, dziś gdy przemoc trzech mocarstw po dokonanej zdobyczy, umywa sobie ręce i mówi światu że Polska żyć nie mogła, bo myśli rozumnej w niej nie było — dziś oto jeszcze konstytucya 3 maja, ku naszej chwale, zadaje kłam wykrętom takim, nie pozwala oczyszczać sumienia czczym frazesem, mówi głośno, że myśl niezawisła polska, że duch polski i naród polski, że wszystko, czego nam żadna przemoc zdusić nie może, *było, jest i będzie.*

Pretwicz.

„Ważniejsze i pilniejsze sprawy.“

Teraźniejszy marszałek parlamentu niemieckiego niejednokrotnie już w publicznem swojem działaniu objawił, że mu najżywotniejsze sprawy społeczeństwa polskiego nie tylko nie są pilne, ale nawet są niesympatyczne. Natomiast, w przeciwieństwie do zacnego majora Szmuli, widzieliśmy p. hr. Ballestrema często w rosnącym coraz zastępie tych szermierzy katolicyzmu, którzy niechęć do polskiego ludu dziwnie jakoś w swej niewyraźnej duszy godzić potrafią z zasadami chrześcijańskiemi. W żywej jeszcze pamięci ma lud nasz górnośląski i cały naród polski tak rozgłośne swego czasu wyrażenie się p. Ballestrema o sposobie, jak Polaków traktować należy, a poparcie jakiego tenże pan udzielił giermanizatorskiemu teatrowi na Górnym Śląsku, który swoją drogą zrobił fiasco, jeszcze bardziej utrwaliło imię jego w dziejach giermanizacyi.

Panu Ballestremowi widocznie pilniejszą jest sprawa popierania niemieckiej sceny na Górnym Śląsku, z jawnym celem wynaradawiania polskiej naszej braci w tej dzielnicy — niż sprawa wrzesińska, która jego niemieckie serce choć nie względami na upośledzony nasz naród, to przynajmniej względami czysto chrześcijańskiemi głęboko przejąć powinna.

Jak wiadomo, w miesiącu grudniu, sprawa wrzesińska, uwieczniona pamiętnym wyrokiem sądu gnieźnieńskiego, stała się przedmiotem obszernych rozpraw na arenie parlamentu niemieckiego, zapoczętych interpelacyą ks. Ferdynanda Radziwiłła. Debaty nad tym przedmiotem, który poruszył opinią nie tylko w Niemczech, ale w całej Europie i nawet w całym świecie cywilizowanym, uległy przerwie, a przedstawiciele nasi w Berlinie, nie sprzeciwiając się odroczeniu, postanowili odczekać wyroku trybunału Rzeszy w Lipsku, którego rewizyi uznanie sądu gnieźnieńskiego podledz miało.

Wbrew ufności biednych skazanych i wbrew nadziejom polskiego ogółu, trybunał lipski — jak już donosiliśmy — zatwierdził z pewną, mało znaczącą zmianą wyrok sądu gnieźnieńskiego. Rozstrzygnięcie takie skłoniło posłów polskich do zażądania dalszego toku dyskusyi nad sprawą wrzesińską w parlamencie. W imieniu Koła polskiego wystąpił i tym razem ks. Ferdynand Radziwiłł z zapytaniem, czy marszałek hr. Ballestrem gotów jest odroczone czasu swego obrady na interpelacyą wrzesińską postawić na porządku obrad. Pan

Ballestrem, odpowiedział, że wprawdzie regulaminowi parlamentu nie sprzeciwiałoby się podjęcie rozpraw w dalszym ciągu, że więc w tym względzie on, jako marszałek, ma zupełnie wolne ręce, że jednak nie widzi ani potrzeby, ani szczególnego interesu, ażeby włączać teraz rozprawy nad interpelacyą wrzesińską do porządku obrad, osobliwie wobec nawału innych, „ważniejszych i pilniejszych“ przedmiotów załatwienia wymagających; wszelako — gotów jest przyrzec, że nie będzie się sprzeciwiał temu, ażeby interpelacya później poddaną była obradom. Tak mniej więcej brzmiała odpowiedź marszałka.

Jak słusznie zauważył dobrze poinformowany korespondent berliński „Kuryera Poznańskiego“ — odpowiedź ta, jakkolwiek upiększona czczą obiecanką, równała się odmownej odprawie. W przyszłym tygodniu już parlament zakończyć ma swe tegoroczne prace i odroczyć się do zimy.

Przyrzeczenie więc podjęcia obrad nad interpelacyą wrzesińską w późniejszym czasie zakrawa nieledwie na żart wcale niewłaściwy. Tym bardziej zaś razić nas musi takie usunięcie niedogodnej dla rządu sprawy z pod obrad parlamentu, gdy tenże rozprawia obecnie o rzeczach ani nie ciekawych, ani też nie mających większego znaczenia. Wymawianie się przeto pilnością i ważnością niezałatwionych jeszcze spraw dodaje jeszcze odprawie pana Ballestrema jaskrawszego kolorytu.

Na łasce lub niełasce, życzliwości lub nieżyczliwości pana Ballestrema bardzo mało nam, Polakom, zależy. Chodzi nam tylko nasamprzód o to, ażeby sprawa wrzesińska, sprawa uwięzionych matek, ojców, braci i sióstr nie przebrzmiała w murach parlamentu niemieckiego po niedokończonych grudniowych rozprawach — podług woli marszałka. Ażeby to się nie stało, posłowie nasi uczynią niewątpliwie wszystko, co będzie w ich możności.

Nadto chodzi nam jeszcze o jedno tylko. Panu Ballestremowi wszystko inne snadź pilniejsze i ważniejsze nad ból i rozdrażnienie narodu polskiego, nad los dziatwy, oderwanej od uwięzionych rodziców, nad łzy ciężko doświadczonych matek. Niechże sobie czuje i myśli, jak sam chce; obojętnem byłoby nam, gdyby nawet czuł i myślał tak, jak trąbiły z wrzaskliwym cynizmem hakatystyczne gazety, usiłując płacz wrzesiński a głos oburzenia w świecie cywilizowanym przekrzyczeć. Ale nieobojętnym nam stosunek tegoż hrabiego do braci polskich na Górnym Śląsku. Nieraz już rola, jaką p. Ballestrem publicznie odegrał, zupełnie się nie zgadzała z tem, że na jego poselstwo tysiące polskich głosów się składały. Po nowszych znamiennych faktach, jak owe zapomogi na giermanizatorskie teatry na Śląsku, a szczególnie odprawa dana księciu Radziwiłłowi i towarzyszom w parlamencie, powinna usposobić lud polski tak, jak tego godność i duma narodowa wymaga. Dla pana Ballestrema nie ma już polskiego głosu! A jeśli przy zbliżających się wyborach kandydaturę jego w dzielnicy górnośląskiej ktośkolwiekbądź postawićby usiłował na porządku dziennym, wtedy lud nasz i jego kierownicy w kampanii wyborczej niechaj odpowiedzą, że są dla narodu polskiego *pilniejsze i ważniejsze* sprawy wymagające rychlejszego załatwienia, niż kandydatura p. Ballestrema. Ale można będzie wtedy z grzeczności także obiecać, że kandydatura ta będzie mogła wejść na porządek dzienny, ale *później*, tak mniej więcej po wyborach.

Vester.

Areszt,

jako najnowszy środek wychowawczy.

Pedagogia czyli sztuka i umiejętność wychowywania dzieci od najdawniejszych czasów polegała na tem, ażeby ciało utrzymać w zdrowiu, ducha usposabiać i zachęcać do wiedzy, a w sercu uszlachetniać i ulepszać te instynkty, z których powstają cnoty obywatelskie.

Uznawał to już jeden z największych mędrców świata, Arystoteles, uznawali też później najznakomitsi pedagodzy, jak szwajcar Pestalozzi, uznawali nawet ci, których Niemcy sławią, jako wzorowych pedagogów, osobliwie Herbart, Schleiermacher, Beneke i inni. Ale pomijając wszelkie powagi w dziedzinie wychowawczej, każdy z nas, trzeźwym obdarzony rozumem, a znający naturę dziecięcą, nieznoszącą przymusu i gwałtu, musi wyznawać tę prostą zasadę, że chcąc ją do czegobądź skłonić, nie można jej przecież zniechęcać i zrażać!

Nie znamy dokładnie stosunków szkolnych w całych Niemczech, nie śledzimy ich, gdy całą uwagę naszą publiczną skupiać musimy w obrębie tych szkół, do których dzieci nasze uczęszczają. Ale sądzimy, że gdyby gdziekolwiek pojawiły się tak niebywałe wynalazki pedagogiczne jak w szkolnictwie Ks. Poznańskiego, wtedyby niezawodnie niemieccy obywatele głośny podnieśli protest.

Wobec władz, które sposobem przymusowym biorą nasze dzieci z pod strzech rodzinnych pod swoją opiekę — jesteśmy bezsilni. Z bólem w sercu tylko i skargą na ustach musimy patrzeć na dzieci nasze, zabierane do nauki nie takiej, jaka ich polskiemu pochodzeniu i naturze polskiej odpowiada, nie takiej, która najwłaściwszym, najprostszym, najmniej przymusowym trybem wiedzie do duchowego wyrobienia, nie takiej, która odpowiednio do przyrodzenia dzieci najlepiej wyrabia ducha i uzacnia serca, ale do takiej, która ma na sobie cechę niezgodną z narodową, odpowiednią pochodzeniu dzieci istotą. Czujemy dobrze, że ów przymus do wykładu i nauki przedmiotów w języku niemacierzystym, wpajanie zasad religii z pomocą mowy niemieckiej, surowe karcenie za brak postępów w nauce lub opór wstrętem do szkoły spowodowany — źle oddziaływa na umysł i na charakter przeciętnego dziecka, a słabą dla nas pociechą,

że mimo wadliwego systemu nie wszystko karłowacieje i nie wszystko wypacza się duchowo. To bowiem dla nas i dla każdego bezstronnego pedagoga, jakiejbądź on narodowości, jest pewnem, że przy obecnym systemie władze umysłowe i moralne dorastającego pokolenia naszego nie wyrabiają się i wyrabiać nie mogą tak, jak powinny.

A już zupełnie zwątpić można o pedagogii pruskiej w naszej dzielnicy, gdy się czyta plan nauki, przygotowany na rok bieżący w szkole wrzesińskiej. Oto dla klasy I[b] włączono do planu *ośm godzin aresztu tygodniowo* między przedmioty zwykłe, dla tejże klasy przeznaczone. Na wtorek, czwartek i piątek przypadają nawet *po dwie godziny* aresztu. Ku wieczystej pamięci warto chociaż z tych trzech dni porządek dziennej nauki przytoczyć:

1) We wtorek przed południem od 7—8 religia, 8—9 geografia, *9—10 areszt*, 10—11 niemieckie, 11—12 rachunki; po południu od 2—3 kaligrafia, *3—4 areszt*.

2) W czwartek po południu: od 2—3 rachunki, *3—4 areszt*, *4—5 areszt*.

3) W sobotę: od 7—8 religia, 8—9 niemieckie, 9—10 hist. naturalna, *10—11 areszt*, *11—12 areszt*.

Zapytujemy każdego rozumnego pedagoga, czy taki oto systematyczny areszt nie może pogłębić jeszcze w dzieciach wstrętu i odrazy do szkoły, do władz, którym szkoła podlega, do wszystkich, którzy system taki popierają?

Nie wiemy, w jakiej formie areszt będzie się odbywał, ale niewątpliwem dla nas to, że ani ciału, ani duszy dziecięcej pożytku nie przyniesie, a dla tego samego już jest chybiony. Z biegiem czasu poznaliśmy gruntownie giermanizacyjny kierunek szkół pruskich w dzielnicach polskich i niejedno już nam podpadać przestało, co nas niegdyś raziło. Ale ten oto nowy wymysł pedagogiczny sięga już dalej niż nasze wyrobione o szkole pruskiej wyobrażenia.

Wszakże poza giermanizatorskiemi zapałami, nauczyciele układający plan nauk dla szkoły wrzesińskiej musieli chyba mieć jakąś pedagogiczną myśl, jakiś pedagogiczny cel. A więc jaki? Czy areszt ma się przyczynić do lepszego pojmowania religii po niemiecku wykładanej? Ale skądże? Areszt, jako rodzaj kary, osobliwie tak planowy, systematyczny, odstręczy dzieci bardziej jeszcze od przedmiotu, który im od dość dawna już przestał być miłym ku wielkiej niestety ujmie dla ich religijności! Albo może areszt, jako szkolna pokuta, ma skruszyć polską naturę dzieci, a zbliżyć i nagiąć do niemieckich celów? I to chybione! Dzieci odsiadywać będą w areszcie długie godziny z tem uczuciem, że cierpią za swą polską istotę, taką samą, jaką mieli i mają rodzice; chyba może tylko polskiego hartu ducha doda im kara taka, jeżli sobie wyobrażać będą, że podobnie jak rodzice wrzesińscy w murach więziennych tak one w murach szkolnych pozbawione są wolności ze strony Niemców. Czy takie wyobrażenie, takie uczucie nie może stać się zarodkiem już nie obojętności dla nauki i szkoły, ale głębokiej nienawiści, zawziętości i nawet zapalczywości?

Żadnej więc, zgoła żadnej korzyści plan nauki, tak hojnie przeplatany aresztem, nie przyniesie niemczyźnie, a chyba tylko wypaczyć może umysł i charakter dziecka, budząc w niem uczucia niechęci, wstrętu, odrazy, nienawiści i przekorności, a nie wpajając zamiłowania do nauki ani też miłości i przywiązania do nauczycieli.

Z jakiego bądź przeto stanowiska rozważamy plan, ustanowiony we Wrześni na nowy rok szkolny, gdziekolwiek szukamy myśli i celów pedagogicznych, nigdzie ich znaleść nie możemy. Domyśleć się możemy pobudek tylko, ale o nich niestety nie można pisać tak, jakby należało. *Ordon.*

Szkodliwa — uprzejmość.

Dwa tygodnie temu wydarzył się u nas wypadek niebywały.

W Rusku pod Wieleniem miało się odbyć zebranie, w celu założenia nowego Kółka rolniczego. Na zebranie to przybył komisarz obwodowy i żandarm. To według ustawy było w porządku. Oprócz nich atoli zjawił się także landrat powiatu wieleńskiego, pan dr. Buresch. To już nie było tak zwykłe. Jeżli pan landrat brał udział w zebraniu w charakterze urzędowym, natenczas stróży bezpieczeństwa na tem zebraniu było za wielu; jeżli zaś w charakterze prywatnym, natenczas obecność jego była zupełnie zbyteczną, gdyż zebranie miało charakter polski. Ale nie dość na tem! Pan landrat zapragnął oto — *wywrzeć wpływ na zebranych w kierunku przeciwnym polskości — a to już wcale a wcale nie było w porządku...* Zwołujący zebranie, jako gospodarz miał wszelkie prawo poprosić pana landrata, ażeby opuścił lokal i pan landrat powinien się był do tego zastósować. Jeżli zaś uprzejmy gospodarz zebrania pozwolił mu pozostać na sali, pan landrat powinien się był ograniczyć na roli biernej i jeno przysłuchiwać się obradom. Przewodniczący zebrania posunął się atoli dalej w swej uprzejmości i pozwolił landratowi przemawiać. A jak pan landrat skorzystał z tej uprzejmości? Oto w języku niemieckim zaczął namawiać zebranych włościan, ażeby zaniechali założenia *polskiego* Kółka, a przystąpili do niemieckiego „*Kreisvereinu.*“ Co więcej! *Pan landrat — jako gość ośmielił się nawet żądać, ażeby dalsze obrady toczyły się po niemiecku.*

To już wcale nie było na miejscu, a nawet było bardzo, bardzo... niewłaściwem.

A cóż się dalej stało? Oto patron Kółek rolniczych pan *Chłapowski* — zamiast stanowczo odeprzeć to żądanie landrata i nazwać je po imieniu, zrobił jeszcze jedno

ustępstwo i starał się przekonać pana landrata, że po niemiecku obradować nie można, ponieważ zebrani języka tego nie rozumieją. W tym celu zarządził rodzaj skrutynium, które naturalnie potwierdziło jego twierdzenie. Wówczas dopiero pan landrat uznał za stósowne opuścić lokal.

Naszem zdaniem było to ustępstwo zbyt *wielkie i zbyt upakarzające.* Zebranie miało charakter polski i pan landrat, jeżeli chciał przemawiać, powinien był przemawiać po polsku. *Tak oto należało mu odpowiedzieć.*

Ale u nas panuje dziś znowu wobec władzy uprzejmość i usłużność, która żywo przypomina czasy polityki ugodowej. Znamy pana patrona Chłapowskiego, i wiemy, że umie bronić godności narodowej. Jesteśmy też najmocniej przekonani, że uczynił to ustępstwo jedynie w nadziei, iż tym sposobem swoboda dalszych rozpraw nie będzie zakłóconą. Tymczasem, co się stało?

Oto po wyjściu pana landrata i obecny komisarz zażądał, aby obrady toczyły się po niemiecku, a gdy żądaniu temu odmówiono — *nieprawnie zebranie rozwiązał!*

Uprzejmość polska na nic się tedy nie przydała. Jeźli już rozwiązanie zebrania z góry było uplanowanem, w takim razie byłoby także nastąpiło, gdyby przewodniczący nie był pozwolił landratowi przemawiać. Rezultat byłby więc jeden i ten sam, a przynajmniej zebrani włościanie nie byliby doznali *upokorzenia;* przeciwnie stanowcze wystąpienie przewodniczącego byłoby im dodało animuszu, a tak co?

Ma się rozumieć, że pan patron „Kółek“ odwoła się przeciwko bezprawnemu temu zarządzeniu komisarza do wyższej władzy, a ewentualnie do sądu.

Teraz atoli najważniejszy moment sprawy: oto zwołujący zebranie udali się do pism polskich z prośbą, ażeby o tem zajściu nic nie wspominały. I nie bylibyśmy się dowiedzieli o niem, gdyby nie „Posener Ztg.“ Hakatystyczny ten organ poszczycił się ot „bohaterstwem“ pana landrata i to dopiero rozwiązało usta „Dziennikowi Pozn.“

Pytamy teraz, dlaczego społeczeństwo nie miało się dowiedzieć o tym wypadku? Czy może inicyatorzy i kierownicy zebrania żenowali się swej uprzejmości? Inaczej sobie tej dziwnej dyskrecyi wytłomaczyć nie możemy...

W wypadku owym widzimy na razie tylko akt *samowoli* pana landrata. W powiecie *wieleńskim* mało dotychczas odbywało się zebrań polskich, więc p. dr. Buresch nie był jeszcze z sprawami takiemi dostatecznie obeznany i zapuścił się w swej gorliwości za daleko. Ale chociażby tak być miało, jak przypuszcza „Dziennik Pozn.,“ to dlaczegoż ukrywać to przed ogółem, dlaczego zawczasu nie poinformować społeczeństwa o tem zajściu, aby wiedziało, co mu grozi i zawczasu chwyciło się środków zaradczych?

Jeźli rząd zamierza nam i to prawo ukrócić, natenczas uczyni to bez względu na zachowanie się nasze, bez względu na to, czy będziemy uprzejmi i korni, czy też będziemy bronili praw swych z podniesionem czołem. Wiemy dobrze, że dąży on do zupełnego zgermanizowania naszych dzielnic, a wobec takiego dążenia największa nasza lojalność niczego nie dokaże.

Na cóż więc brać się tak, jakbyśmy przy lada zamachu na prawa nasze, już z góry, skwapliwie z nich kwitowali. Pocóż się samochcąc, dobrowolnie upokarzać, gdy nas przemoc wszelkiemi sposobami upokarzać usiłuje.

Jeźli już grozi nam nowe niebezpieczeństwo, to oczekujmy go z godnością i odwagą. Szanujmy samych siebie, a może, może i nas bardziej szanować będą.

Verus.

Jeszcze kilka słów w sprawie „Odezwy do młodzieży naszej.“

W tej walce narodowościowo-ekonomicznej, która coraz zacięciej wre, w której coraz twardsze spotykają nas ciosy, wobec wzmagającej się z dnia na dzień nienawiści niemieckiej, a rosnącej w Polaku siły odpornej — skrupulatnie winniśmy sobie zdawać sprawę z tego, co jest, co i jak działać należy.

Obowiązkiem naszym jest oczywiście każdy atak na nasz odrębny byt narodowy i ekonomiczny, a z drugiej strony każdy *czyn dokonany w szlachetnej obronie naszych spraw świętych* poddać trzeźwej, przedmiotowej, wolnej od przesądów ocenie, która ma albo przez przyznanie słuszności dążeniom właściwym, zachęcać nas do tem gorliwszej w tym samym kierunku pracy, lub też w danym razie przez wykazanie niesłuszności odwrócić nas od dotychczasowego postępowania, wskazując inną, lepszą drogę.

Poddajmy takiej ocenie znaną odezwę do młodzieży naszej!

Nie wnikając na razie w to, czy powyższa odezwa, nawołująca młodzież naszą do zaniechania tajnych związków i „politycznej agitacyi,“ natomiast do gorliwej pracy w zakresie *„dozwolonym,“* jest dobrą pod względem swej formy i trafną we wszystkich szczegółach swej treści, trzeba w każdym razie przyznać, że sama myśl wystosowania takiej odezwy, którą podyktowała zapewne jak najlepsza wola, na szczególne zasługuje uwzględnienie.

Grono szlachetnych obywateli idących za pierwszym porywem uczucia, za pierwszą wskazówką rozpoznania, wydaje odezwę do młodzieży naszej, ażeby powstrzymać ją od kroków nierozważnych, po ojcowsku zachęcić do rozumnej pracy.

Ta młodzież, której zarzucają — Bóg wie — jakie „zbrodnie,“ która jednak w rzeczywistości bez pomocy, bez wskazówek, bez słowa zachęty, bez nawoływania, a jedynie według głosu serca pracowała, pielęgnując i otwarcie wyznając swe narodowe ideały, która może właśnie dlatego, że nie miała na kim się oprzeć, w braku dostatecznego doświadczenia naraziła się na ostre prześladowanie, stała się przedmiotem krytycznych dyskusyi.

W chwili, gdy jej utrudniają, względnie wręcz uniemożliwiają dopięcie wytkniętego sobie celu przez odstawianie od egzaminów, wydalanie z szkół średnich i wyższych, skazywanie na kary więzienne za czyny nie sprzeciwiające się żadnemu kodeksowi moralności — w takiej to nareszcie, krytycznej i bolesnej chwili doznaje młodzież nasza, bliska

zwątpienia, dowodów żywego współczucia i rodzicielskiej opieki z strony społeczeństwa.

Zaiste, radosny to objaw w naszem społeczeństwie, że grono szlachetnych obywateli poczuło się do obowiązku, żeby jawnie okazać zainteresowanie się młodzieżą naszą i ściśle z tem złączoną powinność czuwania nad nią. Radosny to objaw, że poszczególni członkowie naszego społeczeństwa stanęli na posterunku w chwili, gdy nowe chmury poczęły się zbierać nad *tą* częścią naszego społeczeństwa, która kiedyś, gdy wyrośnie, i najsroższym burzom skuteczny ma stawić opór i chronić całość od zagłady.

Oto dodatnia strona objawionego zainteresowania — nie wolno nam jednak przeoczyć odwrotnej, ujemnej strony medalu.

Ludziom starszym wiekiem i doświadczeniem, takim, którzy swój patryotyzm okazują nie tylko pustym frazesem, ale nadewszystko czynem godnym, ofiarą, poświęceniem na rzecz Ojczyzny, przysługuje prawo wskazywania dróg tak młodzieży, jak wogóle całemu społeczeństwu. Dlatego też dzielnych tych szermierzy imiona, przyświecające i młodszemu pokoleniu na drodze samoobrony i udoskonalenia, widzi się chętnie pod odezwami, skierowanemi do ogółu lub pewnych określonych części społeczeństwa.

Tymczasem pod znaną odezwą do młodzieży, jakiż procent jest imion, mogących przyświecać narodowi? Ileż tam nazwisk ludzi, którzy dotychczas żadnych nie oddali zasług społeczeństwu, nawet takich, którzy tylko z nazwiska są Polakami, nie dokumentując swego rzekomego patryotyzmu istotną, czynną, publiczną pracą? A skwapliwość ich w podpisywaniu nazwisk wywołuje chyba tylko uśmiech na ustach mężów rozumnych. Czy można krzepić się nadzieją, że pragnienie podpisania swego nazwiska pod odezwę wypłynęło z gruntownej znajomości rzeczy, gdy chodzi o ludzi, którzy są matrwymi społeczeństwa członkami? Czy ci panowie wniknęli w stosunki naszej młodzieży gimnazyalnej i uniwersyteckiej? Czy oni w ogóle pojmują dążenia jej, w każdym razie przecież szlachetne, czy znają jej potrzeby?

Ale przypuśćmy nawet, iżby pod tą odezwą widniały jedynie nazwiska prawdziwych patryotów, mężów zasłużonych, dołączmy nawet nazwiska tych, którzy dotąd wstrzymali się od ogłoszenia swej sankcyi, — czy w formie takiej społeczeństwo niesie *skuteczną* pomoc naszej młodzieży? Czy inicyatorowie tej odezwy, puszczając ją w obieg, mieli istotnie głębokie przekonanie, że ulżą skutecznie niedoli młodzieży naszej, że *sama* odezwa wystarczy?

Dotychczas li tylko zwrócono młodzieży uwagę na niebezpieczeństwo grożące jej wskutek nierozumnego rzekomo zachowania; czyż atoli znalazł się ktoś, który w pozytywny sposób nie naganą i przestrogą, lecz radą światłą i czynem usiłował roztoczyć opiekę nad młodzieżą? Przypomina się jej bezustannie, że świętym jej obowiązkiam pielęgnować niezanikłe pamiątki chwały, języka i oświecenia narodowego, a jednocześnie gani się dotychczasową formę dążeń młodzieży; czy atoli podaje się formę lepszą, którąby była rękojmią, że jak niegdyś, tak i nadal w sercach młodych żyć będą ideały narodowe, będzie rozpalany święty ogień miłości Ojczyzny?

Łatwo dać radę, aby młodzież zaniechała jakichś „tajnych związków“ i jawnie kształciła się w historyi i literaturze ojczystej.

Chcecie szanowni panowie obywatele, aby dzisiejsze pokolenie młodsze nie popełniało nierozumnych kroków, żeby przez porzucenie dotychczasowego sposobu nauki nie traciło na sile ducha narodowego a poznawało dobrze dzieje ojczyste. Bardzo pięknie! Ale nie ograniczajcie się do potępiania młodzieży, zasilajcie *osobiście* szlachetne pierwiastki, które w duszy młodzieńczej przetopić się mają na kruszec czysty, kruszec trwały, kruszec, z którego się urabiać ma przyszłość narodowa. Zamiast tyle napominać i ostrzegać, otwórzcie młodzieży drzwi domów waszych na oścież — tam przy cieple domowego ogniska ogrzewajcie jej serca.

Już kilka razy poruszyła „Praca“ tę myśl, ażeby inteligencya miejska więcej okazywała zainteresowania młodzieży gimnazyalnej. I słusznie! Skoro chcecie, ażeby młodzież dzisiejsza skutecznie w przyszłości broniła stanowiska, które Opatrzność jej powierzy, nie gardźcie jej towarzystwem, zapraszajcie tych młodzików pełnych zapału do siebie, karmcie ich żywem słowem!

Serca wasze przejęte miłością kraju, zagrzane chęcią obrony narodowych idei, niech mówią wymownym i szczerym głosem do tych serc młodych, dopiero się budzących! Starajcie się przelać w tych młodych to, co ojcowie wasi niegdyś w was wlali — starajcie się wpoić w młodociany ich umysł to przekonanie, że w nich spoczywają pomyślniejszej przyszłości tajniki, że ta dzisiaj nic nie znacząca młodzież, za lat kilkanaście może wyrość na narodu chlubę!

Jak to pięknie złotousty Skarga powiedział:

„Wyście ojcowie nasi i opiekunowie, a my sieroty i dzieciny wasze; wyście rozumy i głowy nasze — *my jako* proste dzieci na wasze się obmyślanie spuszczamy i Pan Bóg wam o nas myśleć rozkazał; wyście jako góry, z których rzeki i zdroje wytryskają, a my jako pola, które się onemi rzekami polewają i chłodzą.“

Czyż wątpić można, że młodzież w bezpośredniej styczności ze starszymi, a światłymi obywatelami pragnęłaby tej ożywczej rosy, jaką daje myśl zdrowa miłością Ojczyzny natchniona? Obywatelstwo nasze spełniłoby pewnie lepszy, bo obfitszy w błogie skutki uczynek, przez przygarnianie młodzieży do siebie aniżeli przez podpisywanie nazwiska pod martwą odezwę. *Modest.*

Śmieszna przezorność.

Kwestya posiadania ziemi jest chyba dla nas Polaków jedną z najważniejszych. W dzielnicach tak przeważnie rolniczych, jak nasza, ziemia posiada znaczenie prawdziwej matki żywicielki, co więcej, jest nietylko podstawą bytu ekonomicznego społeczeństwa, lecz także jego siły *politycznej*. Tracąc ziemię, niweczymy, a conajmniej podkopujemy całą naszą ezystencyą, sami oddajemy się na łaskę lub niełaskę wroga. Z tej też przyczyny społeczeństwo ma słuszne prawo do kontrolowania pozostającej w rękach jego członków własności ziemskiej, ma prawo piętnować lekkomyślną utratę ziemi mianem zdrady, ma wreszcie wszelki powód do interesowania się wszelkiemi odnośnemi transakcyami.

I nieprzyjaciele nasi wiedzą, jaką wartość ma dla nas ziemia. Utworzyli więc komisyą kolonizacyjną, uposażyli ją dwustu milionami, aby nam „na wieki“ zabierała tę matkę żywicielkę, a gdy i to jeszcze nie odnosiło należytego skutku, uzupełnili ją hakatystycznym „landbankiem“. Jakie straty nam oba te banki zadały, o tem wiemy wszyscy.

Naturalną było rzeczą, że widząc ten groźny zamach na najcenniejszą swoją własność, społeczeństwo nasze zabrało się do odporu. Utworzono „*Bank ziemski*“, dwie spółki ziemskie, kilka spółek parcelacyjnych, ostatecznie coś w guście wzajemnej pomocy dla ziemian zagrożonych. Instytucye te miały ratować zagrożone subhastą majątki, a przedewszystkiem wyzyskać ów silny a błogosławiony prąd w usposobieniu ludu naszego, tak chciwie łaknącego ziemi.

Prąd ten, to jedna z najlepszych dla nas gwarancyi lepszej przyszłości, a co

najmniej — skutecznego odporu. Dzięki też prądowi temu nastąpił pewien zastój w bezustannem dawniej topnieniu polskiej własności ziemskiej, a nawet zwrot w przeciwnym kierunku. Dużo już, co utraciła brać starsza, lud odzyskał. Z relacyi naczelnych prezesów, odczytanych w sejmie przez kanclerza Bülowa, dowiedzieliśmy się nawet, że w ostatnich latach, mimo komisyi kolonizacyjnej i „landbanku“ odzyskaliśmy nawet kilka mil kwadratowych więcej ziemi, niż równocześnie zdołali nam zabrać Niemcy.

Pewna część prasy naszej, jakby zaniepokojona wywodami kanclerza, pospieszyła z przeciwnemi dowodami, z których wynikało, żeśmy nie tylko nic nie zyskali, ale nawet sporo ziemi stracili. Ale te dowody były na mylnych obliczeniach oparte. Być może, że cyfry rządowe zawierały pewne niedokładności; wszelako niedokładniejszemi były — cyfry za „Dziennikiem Poznańskim“ powtarzane. Nie uwzględniono bowiem należycie korzystnych dla nas zmian w mniejszej własności, a to z tej przyczyny, że odnośne źródła statystyczne są dla ogółu niedostępne. Jaki zaś był powód tego tak skwapliwego prostowania fałszywych cyfr rządowych? Oto rząd wywnioskował z cyfr swoich, że żywioł polski staje się dla Niemców coraz niebezpieczniejszym. Zaniepokojono się więc i zatrwożono, iż wnioskowanie takie jest zapowiedzią nowych, wrogich nam knowań rządu, a zaprzeczenie miało być środkiem zapobiegawczym. Dziwna to zaiste kombinacya!

Niemcy przy dzisiejszym systemie chyba więcej wierzą rządowi niż polskiemu pismu, rząd zaś żadną strusią polityką po naszej stronie nie da się odwieść od dalszych antypolskich zarządzeń, o ile je w interesie pruskiej „racyi stanu“ uzna za potrzebne.

Raz przecie powiedzieć sobie powinniśmy otwarcie, że rząd pruski jest i pozostanie na zawsze względem nas *nieubłaganym*, że na żadną już zmianę lub ulgę z jego strony liczyć nie możemy, że jedyny nasz ratunek — to własna praca, własna zabiegliwość. Na cóż więc te wieczne perswazye pod adresem rządu, te zapewnienia o naszej lojalności, owe wysiłki dla przekonania rządu i większości sejmowej, że niesłusznie i niemądrze względem nas postępuje. Rząd wie najlepiej, do czego dąży i my dobrze wiemy, a podobne usiłowania nasze tylko nas samych ośmieszają, w hakacie zaś wzbudzają mniemanie, jakoby nam już ducha nie stało.

Tak samo nie ma najmniejszego sensu owo wypieranie się naszych innych postępów na polu ekonomicznem i wszelkich wogóle pomyślnych dla nas objawów, jakbyśmy się ich wstydzić potrzebowali lub jakby ukrywania ich powstrzymać mogło rozmach antypolskiej polityki. Czyliż sens jest przypuszczać, że rząd, śledzący wszystko, co się u nas dzieje, nie wie o objawach tych i postępach tak samo jak my? Nie bądźmy tak naiwnymi! Toż istnienie nasze polskie i praca nasza polska jawną jest, a żaden jej szczegół i objaw jej nie ujdzie argusowego oka władz. Bądźmy święcie o tem przekonani, że system wrogi, gdzie tylko mógł i może, starał się, stara i starać się będzie utrudnić pracę i postęp polskości bez względu na to, czy się ich wypieramy, lub nie. Na takiem zaś wypieraniu się postępów i pomyślnych objawów my sami najgorzej wychodzimy. Nasamprzód wytwarza ono *brak odwagi i hypokryzyę, maskuje niedołęztwo tam, gdzie potrzeba krytyki, uniemożliwia wytworzenie jasnego i racyonalnego programu pracy.* Jeźli kto, to właśnie my sami każdej chwili wiedzieć winniśmy, jak stoimy, jaki jest prawdziwy bilans pracy naszej i naszych zabiegów, bo tylko z takiego bilansu poznać możemy *w którym kierunku bardziej jeszcze należy wytężyć wszelkie siły.*

Prawdzic.

Projekt wystawy powszechnej w Warszawie.

Mniej więcej dwa lata temu „Gazeta Polska“ wystąpiła z sympatycznym projektem urządzenia w Warszawie wystawy powszechnej. Koła kierownicze w sprawach handlu i przemysłu w zasadzie myśl tę poparły, uważając okazanie postępów życia gospodarczego i rozwoju wytworczości krajowej za nader doniosłe tak ze stanowiska ekonomicznego, jako też kulturnego. Wystawa taka ujawniłaby zasób sił produktywnych naszego społeczeństwa, wskazałaby kierunek rozwojowi przemysłu, rolnictwa i handlu, a przekonałaby też niewątpliwie, że siły się wzmogły, a praca społeczna nie poszła na marne. Ztąd też spodziewaćby się należało, że wystawa dałaby podnietę silną do usiłowań dalszych, do rozszerzenia granic wytwórczości, pokrzepiłaby ogół moralnie, pozwoliłaby zmierzyć drogę przebytą i tę, którą przebyć trzeba, ażeby podnieść stan ekonomiczny i utrwalić równowagę interesów gospodarczych.

Ale pomimo tylu słusznych względów, przemawiających za urządzeniem wystawy, już wówczas tj. w końcu kwietr. 1900, jeden poważny szkopuł krzyżował plany.

Był to okres, w którym już rok cały srożyło się przesilenie pieniężne i handlowe. Powszechnie atoli przypuszczano, że kryzys nie przybierze rozmiarów większych, że ustąpi miejsca normalnym stosunkom i że ograniczy się tylko do powściągnięcia nadmiernego rozmachu spekulacyjnego w zakładaniu przedsiębiorstw. Nadzieja zawiodła. Przesilenie przeszło w fazę jeszcze ostrzejszą a myśl wystawy musiała być zaniechaną.

W dwa lata od chwili, o której powyżej mowa, „Gazeta Polska“ powróciła do myśli wówczas zaniechanej, uzasadniając wznowienie jej następującemi słowy:

„Wszystkie względy, które w r. 1900 tak silnie przemawiały za wystawą, i dziś nie utraciły nic na sile. Przeciwnie przemawiają nieskończenie goręcej, albowiem weszliśmy w krzepki i decydujący moment systematycznej i energicznej myśli o rozwoju przemysłu krajowego.“

I w rzeczy samej chwila obecna byłaby najstosowniejszą do tego, aby wystawa rzuciła światło jasne na stosunki wytwórcze w społeczeństwie polskiem wobec tego ważnego zwrotu w usposobieniu i dążeniach, ażeby właśnie wytworami własnego przemysłu zaspokajać potrzeby krajowe. Szczególnie dla Królestwa Polskiego, sprowadzającego tyle produktów przemysłowych z zagranicy a szczególnie z Niemiec wyświetlenie takie z pomocą wystawy jest niezmiernie ważnem. Jest bowiem faktem, że ludność królestwa nie zna po prostu własnego przemysłu, potrzeba jej go dopiero okazać, po należytem skatalogowaniu i ugrupowaniu, a chyba żaden środek nie byłby tak skutecznym jak wystawa.

A jednak zdaje się, że i teraz jeszcze piękny projekt „Gazety Polskiej“ ulegnie odwłoce z powodu ciężkich ekonomicznych klęsk, jakie nawiedziły Królestwo, pozostawiając po sobie w przemyśle wielkim, w całym zakresie przetworów kruszcowych a po części i w tkactwie szczerby dotkliwe.

Był to okres nieledwie spustoszenia ekonomicznego a wyłomy podczas niego powstałe, nie są dotąd wyrównane. Wiele wybitnych ognisk produkcyjnych w Królestwie jeszcze dziś jest w stanie krytycznym. W hutnictwie niejedna huta pogasiła piece, w fabrykacyi maszynowej kilka znacznych zakładów musiało wyprosić sobie zwłokę w wypłatach, w Łodzi przemysł bawełniany ograniczył produkcyą.

W takich warunkach popis wytworczości krajowej w postaci wystawy powszechnej zapewne nie byłby zadowalniającym; byłyby w nim luki, wystawcy musieliby się w wydatkach ograniczać

mało które przedsiębiorstwo zdecydowałoby się na duże nakłady przyjmując udział w wystawie, która przecież wtedy dopiero odpowiedziałaby swemu zadaniu i przeznaczeniu, gdyby była urządzoną na szerszą skalę i stanowiłaby ile możności wyczerpujący obraz wytwórczości krajowej.

Dopóki więc przesilenie ekonomiczne w Królestwie, obecnie już znacznie łagodniejsze niż w ciągu ostatnich dwóch lat, nie minie zupełnie, nie można niestety zająć się energicznie projektem takiego przeglądu sił wytwórczych, jakim ma być wystawa powszechna w Warszawie. Turniej taki zainteresowałby niewątpliwie cały naród polski, jako popis żywotności polskich sił gospodarczych.

Szkoda, że współczesny stan przemysłu, osłabiony i przygnębiony, nie sprzyja dobremu i pożytecznemu projektowi. Ubolewać trzeba tym bardziej, że go nie można urzeczywistnić w chwili bieżącej, gdy nastrój duszy narodu i całe usposobienie zwróciło się widocznie w kierunku popierania własnej polskiej wytwórczości.

Miejmy wszakże nadzieję, że krytyczna doba przeminie niebawem, a myśl urządzenia wielkiej powszechnej wystawy w stolicy Polski, pozostanie na pierwszym planie porządku dziennego, nabierze za lat kilka rzeczywistych kształtów i przyoblecze się w szaty, z któremi warto będzie popisać się przed światem.

Hermes.

Z TYGODNIA.

Nieraz już w ubiegłem stuleciu olbrzymie ciało caratu *rosyjskiego* drgało od wewnętrznych wstrząśnień konwulsyjnych, które wywoływał rwący swe okowy duch wolności. Od bomby dynamitowej padł car „oswobodziciel", od kul, sztyletów i trucizny najwybitniejsi mężowie stanu. Zawsze atoli zwyciężała reakcya, owa straszliwa wprost racya stanu, która szczęście Rosyi widzi tylko w absolutyźmie i knucie, a prądy i instytucye wolnomyślne uważa za najniebezpieczniejszego jej wroga. Gwałtowne środki, jakich się chwytało społeczeństwo rosyjskie w celu wywalczenia sobie praw politycznych i ludzkich, nigdy nie odnosiły pożądanego skutku, lecz mocniej tylko jeszcze ściągały pęta rządowe. I teraz jesteśmy świadkami takiego pojawu. Od kuli młodego szaleńca padł minister Sypiagin, a wypadek ten, zamiast skłonić rząd do ustępstw, nowy tylko tryumf zgotował tym sferom, które każdy poryw wolnościowy uśmierzać zwykły kozacką szaszką i knutem. Car, o którym sądzono, że jest zwolennikiem reform liberalnych, rzucił się teraz cały w objęcia Pobiedonoscewa i jego kliki. Dowodem na to ustąpienie ministra oświaty *Wannowskiego*, sędziwego generała, lecz męża liberalniejszych przekonań. Miał on uspokoić młodzież uniwersytecką przyznaniem jej większych swobód, miał zreformować szkoły średnie w duchu europejskim, lecz wskutek oporu reakcyi zadania swego spełnić nie mógł. Ustępuje tedy, nic nie zdziaławszy, ustępuje, ponieważ śmierć Sypiagina odebrała mu ostatnią nadzieję, że jeszcze mógłby coś zdziałać. Następcą zamordowanego został senator *Plehwe*, reakcyonista najczystszej wody i kreatura Pobiedonoscewa, następcą Wannowskiego były kurator warszawskiego okręgu naukowego *dr. Zenger.* Mąż ten nie pozostawił we Warszawie złego wspomnienia; myliłby się atoli każdy, ktoby z powodu tego przypuszczał, że i jako minister oświaty będzie względnym dla młodzieży, pobłażliwym chociażby dla prądów liberalnych. Właśnie na osobie Sypiagina, który także z początku był liberałem, przekonaliśmy się, jak łatwo czynownicy rosyjscy zmieniają „zasady" i poglądy. I z Zengerem tak będzie! Jeżeli bowiem wszechpotężny dziś znów „oberprokurator Synodu" zezwolił na powierzenie mu tak ważnego urzędu, to musi mieć wszelką pewność, że nowy minister rządzić będzie... w jego duchu.

Nie ma tedy najmniejszcj nadziei, iżby z Petersburga, z sfer rządowych wionął wiatr swobodniejszy. Przeciwnie, posypią się tam zapewne znów na kraj cały nowe ciosy i plagi. Możliwą atoli jest rzeczą, że tym razem *zawiodą.* Wieści, jakie nadchodzą z Rosyi, przedstawiają nam położenie wewnątrz tego kraju jako bardzo groźne. Mniejsza już o to, że burzy się *Finlandya*, że stanowczy stawia opór poborowi rekruta. Z nią rząd łatwo da sobie radę. Ale duch rewolucyjny ogarnia już podobno cały naród, nawet lud wiejski i *wojsko.* Odkryto wielki spisek, na wzór dawnych dekabrystów, do którego należeć mają nawet wyżsi oficerowie, a rzekomo już i prosty żołnierz odmawia carowi ślepego posłuszeństwa. W południowej Rosyi chłopi palą pałace panów a wśród młodzieży uniwersyteckiej nowe przygotowują się zamachy. Trudno tu bawić się w proroka i wysnuwać z tej sytuacyi daleko sięgające wnioski. Możliwem atoli jest, że to, co się dziś dzieje w Rosyi, to już nie dreszcz wewnętrzny, lecz *wybuch*, że to początek *przewrotu*, któremu już przemoc podołać nie zdoła, a który zmieni może z gruntu nietylko wewnętrzny ustrój Rosyi, ale i konstelacyą polityczną Europy.

A no — wkrótce już przekonamy się o tem.

Jak niewdzięczną jest dziś rola proroków w polityce, to pokazało się na wypadkach w Belgii. Jeszcze przed tygodniem stały tam przeciwko sobie dwa potężne żywioły, lała się krew ludu i zanosiło się na straszną rewolucyą. Dziś zaś panuje tam spokój. Olbrzymie rzesze robotników, widząc, że oporu rządu przełamać nie zdołają, dały na razie za wygraną i wróciły do pracy. Rząd tryumfuje, bodaj atoli, czy długo cieszyć się będzie zwycięztwem. Ta dziwna karność, z jaką usłuchał lud komendy swych dowódzców, źle wróży. Niezadługo, bo już w połowie maja, odbędą się w Belgii nowe wybory, a wówczas pewnie namiętności z zdwojoną wybuchną mocą. System obecny wyborczy nie jest korzystnym dla szerokich mas, przywódzcy ich spodziewają się jednakże, że zdobędą większość mandatów. W każdym razie wybory będą burzliwe.

Wszędzie ot dzisiaj lud większej pragnie wolności, większego wpływu na bieg polityki i sprawy krajowe. Nawet w *Szwecyi* dopomina się głośno powszechnego równego prawa głosowania.

Na półwyspie *bałkańskim* uspokoiły się umysły. Snać przywódzcom Słowian tamtejszych dano znak z Petersburga, że rozruchy w obecnej porze byłyby Rosyi nie na rękę. Nagle tedy jakoby za dotknięciem różczki czarodziejskiej nastał tam spokój.

Wojna między *Anglią a Burami* niezawodnie dalej toczyć się będzie. Pisma angielskie zapewniają wprawdzie, że akcya pokojowa na dobrej znajduje się drodze — wszystko atoli przemawia zatem, że rokowania pokojowe zupełnie się rozbiły. Rząd angielski pragnie pokoju, łaknie go formalnie także cały naród angielski, nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że Anglia nie szczędziłaby już nie tylko milionów, ale nawet miliardów, aby go okupić, że gotowa by była każdemu Burowi wynagrodzić wszelkie szkody, jakie ponieśli przez wojnę. Jednej tylko rzeczy przyznać im niechce: *wolności i dawnej niezależności politycznej.* A o to dzielnemu narodowi temu najbardziej chodzi. Nie mogąc tedy uzyskać tego na drodze układów, zapewne dalej walczyć będzie w nadziei, że w końcu jednak skruszy przemoc angielską. Tak przedstawia się sprawa dzisiaj; co nam jutro przyniesie, któż to przewidzieć może?

Parlament *austryacki* obraduje — o dziwo — spokojnie, przyznał nawet *Pradze* czeskiej 16 milionów subwencyi. Wkrótce przyjdzie pod obrady projekt „wszechniemców“, żądający zaprowadzenia znów w całej monarchii, z wyjątkiem Galicyi i Dalmacyi — języka niemieckiego jako urzędowego. Ale i ten projekt nie niepokoi już przywódzców parlamentarnych i rządu. Wywoła znów hałas i kłótnie rubaszne, ale parlamentu nie rozbije. Nawet inne stronnictwa niemieckie nie traktują go na seryo. Wszechniemcy zaś rozbici zupełnie piorą ot przed obliczem całego świata własne brudy. Zdaje się, że teraz nareszcie wybiła ostatnia godzina dla krzykacza *Wolfa*. Tyle w ostatnim czasie wyszło na jaw niehonorowych jego postępków, że nawet dawniejsi przyjaciele już się z nim bić nie chcą. A chociaż nadrabia jeszcze fantazyą, to zupełny jego upadek zdaje się być bardzo bliskim.

W Niemczech nie zaszło nic w ostatnim tygodniu, coby warte było wspomnienia w naszej kronice. Zarówno sejm jak i parlament spieszą się na głowę z ukończeniem obrad nad budżetem. Jeno *walka z polskością* toczy się bez przerwy. Wniosek Koła polskiego, ażeby postawiono na porządku obrad parlamentu dalszy ciąg interpelacyi z powodu *Wrześni*, spotkał się z odmową marszałka hr. Ballestrema. Tak oto traktuje się posłów polskich! A mimo to projekt „Kuryera Pozn.“, aby Koło odpowiedziało na to obstrukcyą — nie znalazł — jak się zdaje posłuchu ani w prasie ani wśród posłów. Jesteśmy zawsze jeszcze *zbyt lojalni*. Cóż to pomoże, że dzielni nasi posłowie w sejmie toczą wciąż rozpaczliwą walkę z systemem rządowym, że znów X. *Stychel*, X. *Jażdżewski* i poseł *Czarliński* ostro skarcili nadużycia władz pruskich, kiedy tam, gdzie moglibyśmy dotkliwiej dać się we znaki rządowi, braknie nam do tego *odwagi?* Nie dziwmy się przeto, że z ust ministra *Studta* usłyszeliśmy znów wyrazy *uznania dla nauczycieli wrzesińskich* i zapewnienie, że rząd od systemu swego nie odstąpi. Na pochyłe drzewo, każda koza wskoczy, kto zaś nie umie się bronić, nie powinien się dziwić, że nieprzyjaciel drwi z niego. Tylko „audaces fortuna juvat.“ Pamiętajmy o tem!

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Nareszcie ruszyła się drukowana nasza „opinia publiczna“ w sprawie pp. „*Heyden*-Zielewiczów.“ Uczyniła to dopiero wówczas, gdy pan radzca Zielewicz osobliwem swem oświadczeniem wprost prowokował opinią i prasę. Ale i wtedy sąd publiczny okazał się łagodniejszym niż wymagało dobro publiczne. Najdosadniej osądził rzecz „Wielkopolanin“ i dlatego głos jego na pierwszem dziś przytaczamy miejscu. „*Wielkopolanin*“ pisze:

„O sprawie tej nad wyraz smutnej i przykrej dotąd nie pisaliśmy. List p. radzcy dr. Zielewicza zniewala nas do stwierdzenia faktu, że synowie jego przyjęli do rodowego nazwiska niemieckie nazwisko, czy też przydomek von der Heyden. Przyjmowanie niemieckiego nazwiska, czy też niemieckiego przydomku w dzisiejszych czasach jest dowodem okazywania sympatyi dla niemczyzny zbyt wielkim, aby nie miał słusznie poruszyć opinii publicznej i pod tym względem rodzina Zielewiczów, mimo całej względności z naszej strony, obrońców nie znajdzie. — Ganimy, gdy obywatele polscy niższej inteligencyi zmieniają polskie nazwiska na niemieckie, nie możemy zatem żadną miarą uznawać, gdy podobnie postępują ludzie wyższej inteligencyi.“

„My w sprawie tej milczeliśmy z następujących powodów: raz, że czytelnicy nasi nie lubią skandalów, po za którremi się zwykle kryje prywata lub spekulacya; po drugie dla tego, że źródła, z których ta „sprawa“ się wyłoniła, są mętne i nie dają rękojmi moralnej; po trzecie, że rozmazywanie sprawy może się odbić bardzo niekorzystnie na zacnej instytucyi polskiej, której dobro daleko wyżej stawiamy ponad przeważające w tej sprawie interesa prywatne. W wdrażającej się już widocznie przeciwko towarzystwom polskim akcyi, każda okoliczność obciążająca będzie pożądaną.

„Dziś zresztą kiedy już rzecz rozmazana, należy się wobec czytelników naszych powyższe wyjaśnienie.“

Daruje nam „*Wielkopolanin,*“ jeżli tu zaznaczymy, iż jego obawy jakoby „rozmazywanie tej sprawy mogło zaszkodzić Tow. Pomocy Naukowej“ — wcale nie podzielamy. Instytucya ta nie ma przecież z postępkiem panów v. Heyden-Zielewiczów nic wspólnego. Fakt, że pan radzca piastuje godność sekretarza Tow. Pom. Naukowej tem bardziej powinien był skłaniać prasę do stanowczego wystąpienia w tej sprawie, a przedewszystkiem do postawienia kategorycznego żądania, jak to uczynił „Goniec,“ aby pan radzca złożył swój urząd. Taka ekspiacya słusznie się należy obrażonej opinii publicznej.

„Dziennik Pozn.“ dotychczas wprawdzie jeszcze zdania swego o tym fakcie nie wypowiedział, przytoczył wszakże głos „Wielkopolanina“ i dodał od siebie, że uznaje go „*w wielu punktach za słuszny.*“ I to coś warte.

„Kuryer Poznański“ zdobył się dotychczas tylko na następujące uwagi:

„W sprawie germanizacyi nazwiska panów Zielewiczów, zapowiedzieliśmy w swoim czasie ocenę z naszej strony.

„Milczeliśmy długo, gdyż ufaliśmy, iż p. dr. Zielewicz ogłosi deklaracyą zadowalniającą słusznie rozżalone społeczeństwo nasze. Deklaracya ukazała się rzeczywiście w łamach „Dziennika Pozn“, lecz niestety treść jej nikogo zadowolić nie może.

„Oświadczenie to, jak przewidzieć było można, wywołało jeszcze większe rozgoryczenie. Już „Wielkopolanin“, zamieszczając je, ostro je zaczepił. W tej sprawie cofa się też „Dziennik“ i przyznaje słuszność „Wielkopolaninowi“.

„Ubolewając głęboko nad czynem panów von der Heyden Zielewiczów, ubolewamy również nad formą odpowiedzi ich ojca p. radzcy dr. Zielewicza.

„Odpowiedź ta zawiodła wszystkich, którzy spodziewali się załatwienia smutnej tej sprawy inną zupełnie deklaracyą p. radzcy.“

Trudno nam się powstrzymać z uwagą, że od pisma, które w wielu wypadkach okazuje dużo odwagi cywilnej i trafnego zrozumienia położenia naszego, spodziewaliśmy się czegoś więcej.

Dla lepszego zrozumienia całej tej smutnej sprawy nie od rzeczy będzie przytoczyć ciekawe informacye, zamieszczone w „Gońcu Wielkopolskim.“ „Goniec“ pisze:

„Radzca p. dr. Zielewicz jest — jak wiadomo — synem chłopka polskiego z Powidza. „Niezrozumiałem“ jest nam przeto, jak ów poczciwy polski chłopek z Powidza mógł być „spokrewnionym“ z niemiecką rodziną szlachecką w Kurlandyi osiadłą.

„Pp. Zielewicze, domagając się sprostowania, złożyli w naszej redakcyi oświadczenie, że „rodzina Zielewiczów z rodziną von Heyden już była węzłami pokrewieństwa związana.“

„Czy panowie ci, — zamiast chlubić — wstydzą się, że w żyłach ich płynie polska, chłopska krew? I czy dlatego postarali się o nadanie nazwisku swemu owego niemiecko-szlacheckiego pokostu? Czy panowie ci mniemają, że wskutek przybrania nazwiska „von der Heyden“ ich chłopska krew... „wyszlachetnieje“ stanie się... błękitniejszą?

„A może inne pobudki pchnęły pp. von der Heyden Zielewiczów do wiadomego kroku?

„Narzuca się tu mimowoli pytanie, czy panowie rzeczeni w postępowaniu swem są konsekwentnymi, czy ostatni czyn odpowiada ich dotychczasowemu trybowi życia, czy też nie. Na to pytanie w odpowiedzi słów kilka:

1. Najstarszy z synów radzcy p. dra Zielewicza, górnik, ożenił się z Niemką, w której spolszczenie sam chyba nie wierzy. Pani ta jest córką dyrektora kopalni w Sosnowcu p. Mauwe, protestanta, nie mówiącego słówka po polsku. Ślub odbył się w protestanckim kościele.

2. Drugi syn jest bibliotekarzem przy królewskiej bibliotece w Berlinie, a więc pruskim urzędnikiem.

3. Trzeci zaś odsługuje referendarkę w Człopach w Prusach Zachodnich.

„Oczywiście ani drugiemu, ani trzeciemu synowi p. dra Zielewicza nie można zrobić żadnego specyalnego zarzutu, co dotyczy ich dotychczasowego postępowania, ale w każdym razie „dziwić się“ można, skąd synowie p. radzcy dra Zielewicza mają u rządu taki — dobry numer.

„Może też przyjęcie niemieckiego szlachectwa było ze strony pp. von der

Heyden-Zielewiczów aktem wdzięczności wobec rządu pruskiego? Nam atoli zdaje się, że panowie ci mieli dalej sięgające plany..."

Tem wyjaśnieniem zakończył „Goniec" szereg artykułów śmiało i otwarcie pisanych, a poświęconych niezwykłemu wypadkowi dlatego, że miał niewątpliwie też publiczne znaczenie.

Większej doniosłości niż sprawa pp. *Heyden - Zielewiczów*, jest poruszona przez „Kur. Pozn." kwestya obstrukcyi ze strony posłów polskich. — Ważną jest ona zwłaszcza teraz, po szyderczo-szorstkiej odpowiedzi, danej przez hr. *Ballestrema* Kołu polskiemu w sprawie dalszego ciągu obrad nad *interpelacyą wrzesińską*. Dobrze uczynił „Kuryer Pozn.", że teraz z powodu tej odpowiedzi raz jeszcze przypomniał swój projekt. Oto co pisze:

„Choć nie tracimy nadziei, iż marszałek uzna nasze uprawnione żądania, to jednak w każdym razie jest na czasie zastanowienie się nad dalszemi neutralnościami. Nie można przypuścić, żeby wbrew woli marszałka parlament postawił tę sprawę na porządku dziennym, gdyż nawet wtedy, gdyby za stósownym wnioskiem oświadczyła się większość, mógłby zawsze ktokolwiek stawić wniosek o skonstatowanie braku kompletu Izby, a wtedy i tak marszałek samodzielnie dekretuje. Ale tą samą bronią może Koło walczyć i zmusić marszałka do kapitulacyi.

„Wiadomą rzeczą, iż na wiosnę parlament nie zbiera się w komplecie, nawet projekt tak ważny, jak okowiciany upadł w roku zeszłym dla braku przepisanej regulaminem liczby posłów. Na dzień lub dwa zjadą się jeszcze posłowie, stale nie można ich utrzymać w Berlinie. Wszelkie ostatnie uchwały nad projektami co do marynarzy, podatku od szampana zapadły przy obecności kilkudziesięciu zaledwie posłów.

„Koło polskie może, choć nie liczne, wstrzymać całą maszynę parlamentarną, konstatując ciągle brak kompletu Izby, a wtenczas parlament żadnej już uchwały nie mógłby powziąść.

„Jest to zapewne rodzaj obstrukcyi — ultima ratio, — ale środek ten byłby legalizowanym przez brak szacunku dla prawa naszego omawiania ante omnia sprawy wrzesińskiej. W ten sposób upadła lex Heinze, ustawa okowiciana — na tej też drodze wymódz możemy omówienie sprawy wrzesińskiej."

My zaś dodamy, że Koło wystawiłoby sobie złe świadectwo no i straciłoby dużo z zaufania społeczeństwa, gdyby nie poszło za tą radą.

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Srem, w kwietniu 1902.

Towarzystwo gimn. Sokół w Sremie istnieje lat już dziewięć. Prezesem towarzystwa tego był w pierwszych latach śp dr. Kompf, człowiek pod każdym względem zacny i szlachetny, oddający się duszą i ciałem sprawie sokolej. W czasie tym Sokół śremski rozwijał się też z widocznym postępem prawidłowo i cieszył się ogólną sympatyą i uznaniem, bo śp. dr. Kompf pracował w Sokole gorliwie i ze zrozumieniem rzeczy. Na zebraniach i ćwiczeniach gimnastycznych zawsze było gwarno. Młodzi i starsi druhowie ćwiczyli obok siebie w miłości braterskiej zgodnie i sfornie. Urządzane raz poraz z powodzeniem wieczornice przyczyniały się wielce do budzenia ducha w Sokole, zasilając przytem i kasę. Dziś niestety, smutnie i bardzo smutnie przedstawia się rozwój w Sokole naszym. Śp. dr. Kompf nie znalazł dotąd godnego siebie następcy, któryby w sposób, jak on to uczynił, rozwijał z zamiłowaniem ideę sokolą i rozbudzał zapał młodzieńczy do pracy w Sokole.

Kierownikami towarzystw powinni i muszą być koniecznie ludzie posiadający odpowiednie zdolności, zrozumienie rzeczy, zamiłowanie i chęć do pracy. Tam bowiem, gdzie na kierowników i członków zarządu ciśnie samolubstwo, próżność i pycha, a nie dobro sprawy samej, towarzystwo żadne, a tym więcej towarzystwa gimnastyczne sokole należycie i z pożytkiem rozwijać się nie mogą. Kierownicy tego rodzaju, to po prostu grabarze towarzystw. Z powodu też tego od wyjścia śp. dr. Kompfa ze Śremu, Sokół nasz z roku na rok upadał i upada coraz bardziej. Wielu starszych druhów, nieznajdując w Sokole należytego pokarmu duchowego, z Sokoła częścią wystąpiło, częścią wcale o niego się nie troszczy. Młodzież kupiecka całkiem z Sokoła się usunęła, a niektórzy z niej połączyli się natomiast, niestety, z młodzieżą żydowską w towarzystwo młodzieży kupieckiej żydowsko-polskiej. Smutny to zaiste objaw kosmopolityzmu w obecnych czasach. Monotonne czytanie z książek, to nie praca nad rozwojem towarzystwa, ono to właśnie zraża członków i sprawia, że zebrania pustkami świecą. Na zebraniach koniecznie wykłady i odpowiednie odczyty wygłaszane być winny, jeżeli towarzystwo ma prosperować i podnosić się. — Dziś Sokół u nas przestał interesować szerszą publiczność. Dowodem tego ostatnie, bardzo nieliczne, walne zebranie Sokoła, na którem nie było nawet odpowiedniej osobistości z inteligencyi, która by zebraniu przewodniczyć mogła z należącą się towarzystwu godnością i ze zrozumieniem rzeczy. Zakorzenione zło naprawić trzeba koniecznie. Zalecałoby się w tym celu, ażeby wszyscy ci druhowie, którym nie o zaszczyty, lecz o uczciwą pracę w Sokole i o należyty rozwój idei sokolej chodzi, rozwinęli w kierunku tym energiczną agitacyą i rączo wzięli się do pracy. Sądzę, że mimo przeszkód kilku intrygantów, uda nam się podnieść Sokoła w Śremie na wyżynę, na jakiej koniecznie znajdować się powinien i musi.

Pamiętajmy wszędzie i zawsze o tem, że nie jesteśmy towarzystwem wzajemnej adoracyi, lecz towarzystwem pracującem nad odrodzeniem społeczeństwa pod względem fizycznym i duchowym.

Czołem! *Czytelnik „Pracy"*.

* * *

Krobia.

Korespondentowi, który w nr. 11-tym „Pracy" pozwolił sobie błędne podać doniesienie, tyczące się tak Towarzystwa Przemysłowego — jak również Tow. Sw. Wincentego á Paulo, wymieniając przytem moje nazwisko, iż na przedstawienie amatorskie, jakie rok rocznie urządzam na korzyść ubogich Tow. Św. Wincentego á Paulo — kazałam drukować afisze w drukarni Niemca — czy izraelity, czuję się zobowiązaną odpowiedzieć co niżej.

Dziwnym jest doprawdy, iż wzmiankowany korespondent dostawszy afisz do ręki, nie dojrzał, że takowy pochodził z drukarni p. Kiełmińskiego, Polaka z Gostynia.

Wspomina również, iż w Krobi nie mamy wielu biednych! O! zaiste! szczęśliwa ta nasza mieścina, podług zdania korespondenta. Widać, jak bardzo kieruje się miłością bliźniego, kiedy nie wie, ile Tow. Sw. Winc. á Paulo wydaje na wsparcia — li tylko dla prawdziwie potrzebujących, do których zaliczają się i jego krewni.

Miło mi nawet, iż przy tejże sposobności — nie tylko dla zaspokojenia korespondenta, ale dla dobra tak zaszczytnego Towarzystwa, jakiem jest Tow. Św. Winc. á Paulo — wykazać mogę sumy — ile takowe wydaje dla naszych biednych. Począwszy od 1 stycznia 1901 r. do 1 stycznia 1902 r. wydano na tygodniowe wsparcie — ogółem 393 m. 50 fen. Na gwiazdkę w roku 1901 wydano 332 m. 30 fen. I dzięki ofiarności nie tylko miejscowych, ale i zamiejscowych dobroczyńców, obdzielono gwiazdką 65 osób starszych i 52 dzieci. A ileż to obecnie osób chorych — ma wspomniane Towarzystwo w opiece. Oj! szlachetniej zaiste byłoby, gdyby, zanim się umacza pióro — by pisać kłamstwa, czas ten poświęcić na cel korzystniejszy, a chociaż by tylko na uczciwą pracę w domu — z której byłoby więcej chleba. Zająć się wychowaniem swych dzieci — nauczyć pracy, aby później nie potrzebowały wsparcia z Tow. Św. Winc. á Paulo.

A jeśli zdolny do korespondencyi! dlaczego też nie piszesz uczciwych rzeczy o Krobi? Wszakże nasze miasteczko posiada prawych i zacnych obywateli — którzy swej skiby nie wypuszczają w obce ręce — ale pracują w pocie czoła na kęs chleba. A gdy przyjdzie wesprzeć ubogiego — nie odmawiają wsparcia — jak również hojnie przychodzą z pomocą Tow. Św. Winc. á Paulo, na gwiazdkę dla biednych.

Stokrotne dzięki Szanownemu Obywatelstwu miasta Krobi — jak i Czcigodnym Dobroczyńcom z stron dalszych, oraz wszystkim członkom — składa

w imieniu całego Towarzystwa

Eleonora Bzylowa,

Prezesowa Tow. Sw. Winc. á Paulo.

(Jakkolwiek niechętnie poświęcamy łamy pisma naszego polemice, uważaliśmy za nasz obowiązek sprostowanie powyższe umieścić, prosząc Czytelników naszych, by szlachetne dążności podobnych Towarzystw jak najwięcej popierali.

Umieszczając poprzednią korespondencyą, nie przypuszczaliśmy, iżby ją spowodować miały jakiebądź nieszlachetne

pobudki i nadmieniamy zarazem, iż na przyszłość żadnego podobnego listu nie umieścimy, jeśli podane w nim fakta przynajmniej przez dwóch poważnych obywateli, lub miejscowego duszpasterza poświadczone nie będą. Przyp. Redakcyi.)

* * *

Z Ameryki.

W ostatnim a raczej w pierwszym liście z Ameryki, skreśliłem w kilku słowach ruch, jaki wywołał między Polonią amerykańską głośny proces wrzesiński. Dzisiaj pragnę — bo uważam to za konieczne — szkic mój uzupełnić.

Jak to słusznie było do przewidzenia, w ślad za Polonią Pittsburgską, poszły wszystkie prawie osady polskie w Stanach Zjednoczonych — i urządziły liczne, a wspaniałe wiece. Na wszystkich tych wiecach zaprotestowano nie tylko przeciw surowemu wyrokowi gnieźnieńskiemu, ale wogóle przeciw niesłusznemu traktowaniu Polaków pod zaborem pruskim. Wybitniejsi obywatele amerykańscy, liczny brali udział w tych wiecach. Składki, które już teraz zamknięto, są bardzo obfite. Cała Polonia amerykańska zebrała przeszło 50 tysięcy marek. Czyż nie pokaźna to suma? Niektóre parafie i towarzystwa wysyłały pieniądze zebrane na ręce gazet w starym kraju — większa przecież część posłała takowe na ręce „wydziału wykonawczego“ ostatniego Sejmu Polskiego w Buffalo — a który to wydział, pieniądze te nadeśle komitetowi „funduszu wrzesińskiego.“ Szkoda tylko, że nie wszystkie parafie i towarzystwa odesłały swe składki do „Wydziału wykonawczego,“ bo w ten sposób tem dobitniej byśmy byli naznaczyli naszą solidarność — a tej może bardzo brak Polonii amerykańskiej.

A teraz kilka uwag.

Czytając sprawozdania tych licznych wieców polskich w Ameryce, widząc te obfite składki, płynące z wszystkich stron na fundusz dla sierotek wrzesińskich, i to zainteresowanie się losem naszych rodaków w Ojczyźnie, mimowoli przychodzi mi zawołać: „O błogosławiona Września“ — tobie to zawdzięczamy, że ta wielka liczba Polaków, która zapomniawszy o Ojczyźnie, ziębła coraz więcej w uczuciach narodowych, że ta wielka liczba Polaków, mówię, obudziła się wreszcie z letargu. O tak, Wrześni to zawdzięczyć należy, że my Polacy wygnańcy, znów spoglądamy w stronę Ojczyzny, w stronę naszych biednych braci, że łączymy się raz przecie sercem i myślą, że was kochamy, was podziwiamy, z wami współczujemy. Czujemy teraz, żeśmy Polakami — bo ciosy wam zadawane i nas bolą. Niechaj więc to przynajmniej będzie pociechą dla was Rodacy, w wszystkich tych ciężkich chwilach, które przechodzić musicie, że im większe prześladowanie, tem mocniejszy węzeł nas łączy — nas Polaków wygnańców — z wami Polakami w Ojczyźnie.

Długo jeszcze, a dałby Bóg, żeby jak najdłużej, Polacy w Ameryce będą pamiętali o Wrześni...

Amerykanie, bo już zapominają o sprawie Polskiej i poczynają ziębnąć w swych sympatyach dla Polaków. Czemu, łatwo się domyśleć. Dziwni i śmieszni ci obywatele najbardziej republikańskiej republiki na świecie. Dla tytułu, dla orderu, a nawet dla honoru, gotowi są sprzedać wszelkie zasady i wyrzucać miliony na przyjęcie „gości książęcych.“ Nie mam wcale zamiaru rozpisywać się o wizycie i przyjęciu księcia Henryka, bo my Polacy wizytę tę całkiem ignorujemy. Zaznaczę to tylko, że amerykańscy niemiaszkowie bardzo się cieszą, że ich śpiewu „Wacht am Rhein“ słucha więcej Amerykanów, niż naszego „Boże coś Polskę“ na wiecach polskich. Niechaj się cieszą — chociaż nie mają się z czego cieszyć, gdyż śmiało twierdzić można, że ta książęca wizyta żadnych doniosłych skutków mieć nie będzie. Jeden z najwybitniejszych redaktorów amerykańskich do mnie powiedział:

„My księcia pruskiego przyjmujemy — bo przyjechał — więc przyjąć go musimy jako naród cywilizowany — a zresztą w tem leży nasz „business“, ale o przyjaźń z Niemcami wcale nie dbamy.“ Prasa amerykańska dość chłodno wizytę tę traktowała — a posłowie parlamentu amerykańskiego wprost niegrzecznie o księciu się wyrażali. — Młody to naród, ale chytry ci amerykańscy „yankesi.“

Kończę dzisiejszy mój list wiadomością, że przed miesiącem niespełna, wyjechało z Ameryki dwóch księży polskich i jeden świecki do Rzymu, aby tam osobiście przedstawić Propagandzie, żądanie Polaków o ustanowienie biskupa polskiego w Stanach Zjednoczonych i o większe uwzględnienie dobrze zasłużonego kleru polskiego, w nominacyach dyecezalnych. O ile słuszna nasza prośba uwzględnioną zostanie — przyszłość okaże.

Z braterskiem pozdrowieniem

Zawsze — Polak.

Dział ekonomiczny.

Przemysł naftowy w Galicyi.

Często słyszy się skargę, że przyroda nie zbyt hojnie wyposażyła ziemię polską, Ojczyznę naszą, że właściwie skazani jesteśmy wyłącznie na rolnictwo, gdyż do wytworzenia wielkiego przemysłu braknie nam niezbędnych surowców i surogatów. *Nie ma pewnie skargi mniej uzasadnionej, jak właśnie ta.* Po prawdzie bowiem zawiera ziemia nasza wszystko, czego potrzeba do wytworzenia wielkiego przemysłu. Chociaż nawet odliczymy dawno już na pastwę wrogów oddany Ślązk „pruski,“ tę prawdziwą skarbnicę *płodów kopalnianych,* to zawsze jeszcze pozostanie ich tyle, iż mogłyby nietylko zaspakajać potrzeby całej Ojczyzny naszej, lecz nadto stanowić pokaźny objekt wywozu. Zagłębie dąmbrowskie w Królestwie i jego przedłużenie w Galicyi dostarczyć może *węgla kamiennego*, dosyć nawet dla bardzo rozkwiniętego przemysłu fabrycznego; a nie braknie tam także rudy żelaznej, ołowiu, cyny i srebra. W kilku zaś miejscach spoczywają jeszcze w ziemi olbrzymie wprost pokłady *węgla brunatnego.*

Solą z Wieliczki, Bochni i Inowrocławia moglibyśmy zasypać całą Europę; ogromne pokłady *kainitu* odkryto w Kałuszu w Galicyi, oraz podobno na Kujawach. Mamy *wapno, gips, marmur* i wiele innych kamieni, mamy *naftę* i *wosk ziemny*, mamy liczne *źródła mineralne.* Ziemia nasza opływa zatem we wszystko, na czem oprzeć by można silny rozwój ekonomiczny i wytworzyć znaczny dobrobyt; cóż, kiedy nie umieliśmy i nie umiemy dziś jeszcze skarbów tych wyzyskać.

Sól, gips i wapno w Księztwie Krakowskiem eksploatują Niemcy i żydzi, węgiel i rudę żelazną w Królestwie Niemcy i Francuzi, a nawet większa część produkcyi nafty w Galicyi znajduje się w rękach obcych przedsiębiorców. A właśnie na tej nafcie galicyjskiej widzimy, jakie to skarby oddajemy w ręce obcych.

Pierwsze źródło naftowe odkryli w Galicyi śp. *Ignacy Łukasiewicz* i ś. p. *Trzecielski* już w roku 1853, a więc przed 49 laty, a siedm lat rychlej, niż w Ameryce północnej. Długo atoli trwało, zanim ogół zainteresował się tym nowym produktem, właściwie zaś rychlej zainteresowała się nim zagranica, niż Polacy sami. A przecież kapitałów do wyzyskania tego skarbu nie brakło, jeno że arystokracya nasza, dzierżąca w swem ręku kapitały, woli je trwonić za granicą niż podnosić niemi kraj własny. To też jeszcze w roku 1886 wynosiła ogólna produkcya nafty w Galicyi ledwie 425,000 metr. centnarów.

Można rozmaicie sądzić zmarłego Szczepanowskiego, to jednak pewne, że popchnął on przemysł naftowy w Galicyi ogromnie naprzód. Od chwili tej, gdy on wystąpił na pole pracy, produkcya zwiększała się szybko. Już w roku 1890 wynosiła 916,000 m. centn. w r. 1895 zaś 2148,000, a w roku 1900 obejmowała aż 3,263,000 metr. centn.

Jest to wprawdzie tylko 30ta część produkcyi amerykańskiej, obliczonej na 95 milionów metr. centn., jednakże już jak na stosunki europejskie bardzo wielka. Cała przecież *konsumcya* nafty w *Austryi* wynosi tylko 2 mil. centn. metr., Galicya przeto mogłaby zaspokoić nie tylko całe zapotrzebowanie *Polski*, gdyby ot Polska istniała, jako państwo niezależne, ale nadto wysyłać znaczną ilość nafty za granicę.

Jakież znaczenie ma przemysł naftowy dla Galicyi, to okazuje się z następujących cyfr. Zatrudnia on (włącznie

z przemysłem woskowym) przeszło *11,200* robotników, którzy razem zarabiają rocznie blisko *siedm milionów marek.* Nadto wymaga roczne zapotrzebowanie przemysłu naftowego: *drzewa* za przeszło milion marek, z czego korzystają właściciele lasów, a machin, węgli, beczek, rur oraz innych utenzylii fabrycznych za blisko 10 milionówk mare. Ileż to więc mogłoby powstać obok przemysłu naftowego nowych gałęzi przemysłu w kraju, gdyby bracia nasi w Galicyi posiadali odpowiednio przedsiębiorczego ducha! Tymczasem pomocniczego przemysłu takiego nie ma tam niemal wcale i prawie całe te 10 milionów wychodzą za granicę do rąk obcych.

Jedną z głównych przeszkód rozwoju przemysłu naftowego w Galicyi jest brak basenów i rezerwoarów zwłaszcza na dworcach, w którychby nafta spokojnie czekać mogła na korzystniejsze konjunktury zbytu. Głośno też od dawna już przemysłowcy naftowi dopominają się od rządu budowy takich zbiorników. Rząd atoli, który pobiera samego podatku konsumcyjnego od nafty galicyjskiej około *25* milionów marek rocznie, ociąga się zawsze jeszcze ze spełnieniem odnośnych żądań producentów.

Takie ot skarby spoczywają w łonie ziemi naszej. Nie skarżmy się tedy, że nas przyroda źle wyposażyła. Pracujmy raczej gorliwie nad wyrobieniem charakteru naszego w kierunku większej energii i przedsiębiorczości, abyśmy te skarby we własne ująć mogli ręce. Wówczas już nawet kolos germański z ekonomiczną swą przewagą przestanie być groźnym dla nas.

Z.

KRONIKA.

Zawarły się na czas letni podwoje *„przybytku Melpomeny“* — jak się wyrażają literaci wznoszący się chętnie ponad pospolitość wszelką, a *„teatru“*, jak mówią prostacy w guście podpisanego niżej kronikarza. Przed zamknięciem sceny, dyrektor pokazał nam jeszcze kilka nowości, które żywo zainteresowały publiczność. Mam na myśli szczególnie trzy premiery: „Piękną ogrodniczkę“ Stefana Krzywoszewskiego, „W burzliwą noc“ Tadeusza Kończyńskiego i „Pogrzeb“ Kaźmierza Laskowskiego.

Pierwsza z tych sztuk jest, ściśle wzięta, obrazkiem dramatycznym, misternie narysowanym, o kolorycie żywym i barwnym. Opowieść dramatyczna, wysnuta z niesympatycznego zawsze tematu cudzołóstwa, które grzecznie niekiedy romansem zwiemy, — nie jest smaczną, razi nawet szczególnie pod obyczajowym względem; natomiast układ sceniczny mimo dość poważnych usterek nazwać można udatnym.

Szerszego pokroju utworem jest dramat 4-aktowy Oruga czyli T. Kończyńskiego „W burzliwą noc.“ Znać w nim niewątpliwy talent twórczy, znać nerw dramatyczny i ducha, co potrafi wnikać subtelnie w dusze ludzkie i rozeznawać ich władze podług dostrzeganych w życiu objawów. Szkoda, że całość przeładowana jest ciężarem trudniejszych refleksyi i zwrotów, za któremi myśl widza, pragnącego rozrywki i wypoczynku w teatrze, leniwie i niechętnie podąża. Trzecia z premier, zatytułowana „Pogrzeb,“ fakturą dramatyczną niezaspokaja wprawdzie wymagań scenicznych, ale pięknym, wierszowanym językiem napisana, obfita w nasze swojskie obrazy, szczerą, czystą rodzinną atmosferą owiana i szlachetną tendencyą nacechowana, będzie miała zawsze wartość w piśmiennictwie naszem jako poemat.

W każdym zaś razie należy się uznanie kierownikowi sceny, że zapoznał publiczność z powyższemi kreacyami, które w ostatnich czasach zwróciły na siebie uwagę świata literackiego.

O uznanie takie, jak w ogóle o uznanie słuszne, nie łatwo u nas, jakkolwiek jesteśmy narodem prezesów, dyrektorów, radzców i t. p. dygnitarzy. Dziwne zaiste! To samo społeczeństwo, co gotowo skąpić uznania prawdziwej pracy i zasłudze, szafuje hojnie czczemi tytułami, łechcąc miłość własną tytułowanych i podsycając ich osobistą próżność.

Nieraz okrągłe zero jest „panem prezesem“, ten i ów, który powąchał prawo jako kancelista — oczywiście „sędzią“, a taki, co nawet z swoją własną głową rady sobie dać nie może — zarazci „radzcą“. Ta swawola próżności wyrobiła już nawet pewną manią tytułową w szerokich kołach tak dalece, że przeciętny obywatel tak długo medytuje, aż sam sobie jakiś honor wymyśli. Ztąd pochodzi, że niejeden, który np. w mechanice nauczył się przykręcać i odkręcać śrubki, przedstawia się jako „inżynier“, że specyalista w wykrawaniu nagniotków mniej lub więcej dokuczliwych lub w przystawianiu pijawek krwi łaknących każe się tytułować „panem dochtorem“, że w końcu wielu dawniejszych szewców, rzeźników i piekarzy mianuje się fabrykantami obuwia, kiszek, chleba itp.

Tak grasuje próżność, a obok niej niestety brak właściwej dumy i poczucia obywatelskiego. Brak ten uwłacza nawet niekiedy narodowości. Oto n. p. nie podniesie to zapewne znaczenia i powagi polskiego społeczeństwa, gdy w restauracyach polskich gospodarze pouprzątają polskie napisy ze ścian lokalów swoich, pozostawiając niemieckie. A mówią coś podobnego coraz głośniej o jednej z poznańskich restauracyi, mówią też o szkodzie, jaką sobie przez to wyrządziła. Kilku bowiem podejrzliwych Niemców przestało tam podobno uczęszczać właśnie od chwili, gdy znikły ze ścian polskie tabliczki obiadowe. A dlaczego? Oto poszeptali sobie, że z polskich ścian znikły tabliczki na to, ażeby Polacy nie psuli sobie żołądków a tylko Niemcy się truli i — z tem podejrzeniem poszli sobie.

Ale, ale! O mało co byłbym zapomniał, że w czwartkowym numerze „Posenerka“ utyskuje na brak świń w Niemczech. Czy też się tylko nie myli!

Chochlik.

Trzeci Maja.

Z świeżą wiosną, z barwnym kwiatem
Znów zaświtał dzień pamiątek,
Dzień co podniósł nas przed światem —
Najświętszy dziejowy szczątek...
I najbardziej ukochany,
Bo porównał *wszystkie stany!*

W dniu tym szlachta, król, magnaci
Pierwsi z narodów uznali:
Lud i mieszczan za swych braci —
I już odtąd wielcy, mali
W tej radosnej Polski dobie
Byli wszyscy *równi sobie!*

Lecz choć Polska poszła przodem
W tej epoce wspólnej chwały,
Choć lud z królem — król z narodem,
Wszystkie stany pracowały:
Nad Ojczyzny odrodzeniem...
Bóg przywalił Ją kamieniem.

Bóg Ją złożył do mogiły,
I naznaczył dwie pokuty —
Chcąc by naród świadom siły
Dawniej wolny, w więzy skuty,
W dniach upadku i niedoli
Oduczył się samowoli.

I jak stał w ogniowym harcie
Dał dowody swej jedności,
Umiał cierpieć i z zaparciem,
Stałym w wspólnej był miłości,
A przez jedność i wytrwanie
Zasłużył na Zmartwychwstanie.

Upłynęło wiele wody
Wiele jeszcze jej upłynie,
A w tej naszej tu krainie
Dotąd ciągle *nie ma zgody* —
I jak ongi w dobre czasy
Z sobą toczymy zapasy.

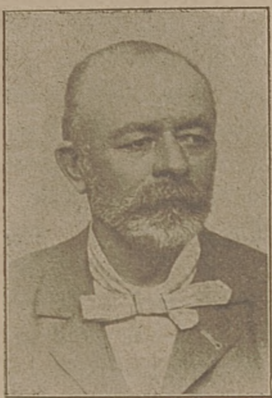
O! litości Jezu Chryste!
Twej Miłości ześlij ducha —
Niech oczyści co bagniste,
Niech się naród w niego wsłucha,
Niechaj choć ten Maja trzeci
W naszych sercach Jedność wznieci.

Niech złość wspólna raz się skończy,
Niech raz przejrzą grzeszni ślepcy —
Niech braterstwo wszystkich łączy!
Wiarą w przyszłość bądźmy krzepcy;
Niech ten święty Trzeci Maja
Świętych ogniw łańcuch spaja!

N. K.

Album galicyjskiego sejmu.

Serya II.



Stanisław Pawlikowski
pow, Żydaczowski (kons.)



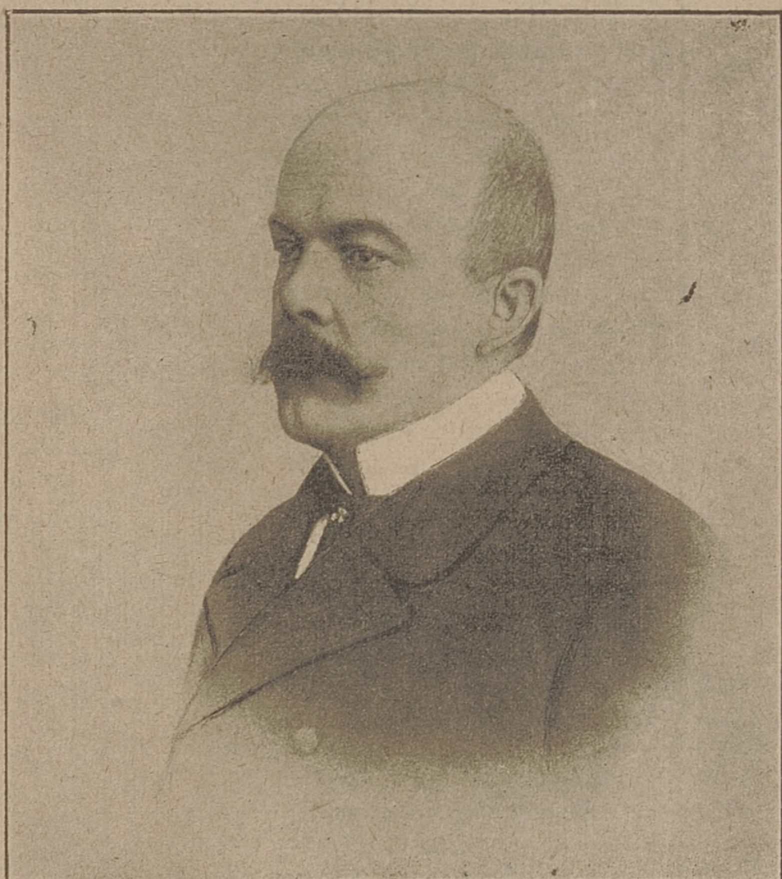
Zdzisław hr. Tarnowski
Tarnobrzeg, kurya wiejska (kons.)



Kazimierz Lipiński
Sanok-Krosno (demokrata).



Edmund Lityński
Podhajce. Kurya wiejska (kons.)



Kazimierz hr. Badeni
Wielka własność krak. (kons.)



Emil Michałowski
Tarnopol (demokr.)



Stan. Hasso Agopsowicz
(kons.)



Prof. Dr. Antoni Mars
Wiejka własność N. Sącz (konserw).

Kazimierz Wielki

na uczcie u Mikołaja Wierzynka, Rajcy Krakowskiego.

(Do illustracyi albumowej).

Kazimierz Wielki postanowił Elżbietę, księżniczkę Pomorską, wnuczkę swoję po córce, wydać za mąż za Karola cesarza Niemieckiego. Na wesele do Krakowa oprócz cesarza przybyli legat Papiezki, trzech królów i mnóstwo książąt i panów. Podczas uroczystości weselnych, Wierzynek, Rajca Krakowski, zarządzający skarbem i główny królewski doradzca, wyprawił gościom ucztę. Dla uniknienia nieporozumień, Wierzynek otrzymał pierwej pozwolenie, aby według swojej woli, miejsce każdemu naznaczył. Liczne dobrodziejstwa od króla i pana swojego doznane, były mu powodem do posadzenia naprzód Kazimierza, a po nim dopiero cesarza, tudzież innych królów i książąt. Po uczcie każdy z obecnych otrzymał w darze naczynie złote i srebrne, szaty złotogłowiowe i drogocenne kamienie. Powiadają, że Wierzynek na tym obiedzie, do sta tysięcy czerwonych złotych królom i książętom w upominkach rozdał. Za czasów bowiem króla Kazimierza, Polska kwitła dostatkiem i szczęściem. *—ski.*

W starej kuźni.

Nizkie chaty, białe brzozki,
Przy gościńcu żerdny płot,
A za płotkiem w sercu wioski
W starej kuźni bije młot,
Bije młot!
Ledwie rankiem promyk złoty
Na grzebienie padnie strzech,
W starej kuźni dzwonią młoty
I kowalski huczy miech!
W starej kuźni kowal znany
Na „okolic“ majster chwat!
Ze starymi jeszcze pany
Z niepamiętnych osiadł lat!
Siwa głowa na majsterku,
Krzyż latami zgięty w łuk...
Lecz tnij zagon choć po „szczerku,“
Gdy „uskibi“ — stary — pług!
Sierp „uzębi,“ wóz wykuje,
Po wybojach cwałem goń!
A jak kosę „nastaluje“,
Po makówkach choćby dzwoń!

Nizkie chaty, białe brzozki,
Przy gościńcu żerdny płot,
A za płotkiem, w sercu wioski
W starej kuźni bije młot.
W starej kuźni kowal znany
Na „okolic“ majster chwat!
Ze starymi jeszcze pany
Z dawien dawnych osiadł lat!
Stary majster przy kowadle
Strawił większe życia pół,
Jeszcze w głowie były trznadle,
Gdy w gołoledź konie kuł.
Potem miewał moc roboty...
W dobrych czasach majster żył!
Jeno śpiewał dla ochoty,
Dniem i nocką młotem bił!

Dziś włos biały u majsterka,
W kuźni szpary, spróchniał płot,
A czy kosa, czy siekierka,
To „kiej“ piórko śmiga młot!
Śmiga młot!

Kazimierz Laskowski.

Otwarcie szkoły ludowej w Reczpolu

koło Krasiczyna w Galicyi.

(Do illustracyi).

Piękną i podniosłą uroczystość święcono dnia 10-go kwietnia w Reczpolu, w małej wiosce polskiej koło Krasiczyna w Galicyi. Staraniem i z funduszów Koła Pań Towarzystwa szkoły ludowej w Przemyśle, stanął właśnie w tym roku piękny i schludny budynek szkolny, który w dniu 10 kwietnia oddano do użytku miejscowej ludności, zapobiegając w ten sposób odczuwanej oddawna dotkliwie przez mieszkańców potrzebie oświecenia i nauki.

Pragnąc z jednej strony oddać publiczne uznanie przemyskiemu Kołu Pań „Towarzystwa Szkoły Ludowej“ za jego wydatną i patryotyczą działalność, a z drugiej strony wskazaniem dobrego przykładu zachęcić inne oddziały wspomnianego Towarzystwa do równie energicznej i gorącej akcyi, a więcej jeszcze zwróć ć na nią uwagę polskiego ogółu, bez którego szczerego poparcia „Towarzystwo szkoły Ludowej“ skutecznie pracy swej rozwinąć nie może, przesyłam fotografię nowej szkółki i opis uroczystego otwarcia. Uroczystość rozpoczęła się aktem poświęcenia nowego budynku. Ceremonii tej dokonał ksiądz kanonik Solecki, proboszcz i dziekan z Krzywczy. Potem w pięknie przystrojonej sali szkolnej zebrało się liczne grono gości: więc włościanie reczpolscy, przedstawicielki przemyskiego Koła Pań „Tow. Szkoły Ludowej“, pani Tarnawska i pani Bartelmusowa, których zapobiegliwości i ofiarnej pracy zawdzięcza głównie swoje powstanie nowy posterunek oświaty, dalej delegat głównego Zarządu „Tow. Szkoły Ludowej“ z Krakowa dr. Bandrowski, a w końcu wiele osób z koła okolicznej inteligencyi, między któremi zauważyliśmy posła na Sejm krajowy dr. Leonarda Tarnawskiego z Przemyśla i. w. i.

W pięknem przemówieniu zwróconem do mieszkańców Reczpola przedstawił im inspektor szkolny z Przemyśla pan Rölinger doniosłość ich oświaty dla ich własnego dobra, jako też dla pożytku przyszłych pokoleń. Polecając nową szkółkę ich serdecznej opiece, zakończył życzeniem, aby szedł z niej dobry posiew na chwałę, pożytek i zbawienie Ojczyzny. W prostych, ale rzewnych słowach podziękował włościanin Pawłowski „Towarzystwu Szkoły Ludowej“ za nieoceniony upominek, jaki dzięki staraniom tegoż Towarzystwa przypadł w udziale dziatwie reczpolskiej dziś i na przyszłość. Odśpiewaniem przez dziatwę szkolną pieśni: „Serdeczna Matko“ zakończono tę piękną uroczystość.

Należy nadmienić, że zasługa tych osób, które przyczyniły się do tego obywatelskiego dzieła, jest tem większą, że dzieci Reczpola odciętego zupełnie przez położenie swoje od gmin sąsiednich, pozostawały dotąd prawie zupełnie bez strawy duchowej a i cała ludność miejscowa będąc otoczona dookoła żywiołem ruskim i nie czerpiąc znikąd sił do zachowania polskości, skazaną była ostatecznie na zruszczenie. Nowa szkółka zapobiegnie temu niezawodnie, stając się tem samem ważnym posterunkiem narodowym. *R. K.*

ŁZY.

Bóg nas nawiedził, Bracia! rozpaczą
Ale naznaczył jej bliski kres:
Więcej że — więcej — o! więcej łez —
Błogosławieni bo, którzy płaczą! —

Na wodach życia, które podsyca
Fala po fali — miłość to ból —
Z łez skrysztalonych dla ziemi sól,
Albo perłowa pieśni macica.

Na wodach życia, — o! moja Polsko,
Bez liku słonych tam twoich fal
Płynie a płynie w omgloną dal,
Niby zaciężne w pochód gdzieś wojsko.

O moja Polsko, dostój pod krzyżem —
Więcej — o więcej łez jeszcze lej!
Tyś solą ziemi ckliwej i mdłej —
Macica pereł — które jej niżem.

O mój narodzie znają cię ludy!
Mężnieś bojował przez tysiąc lat!
To z przerażeniem spogląda świat,
Aza już kona lew z rodu Judy?

Jako co stoi tutaj i waży,
Pan Odkupiciel sam jeno wie —

On ciebie wybrał lechicki lwie!
Swojej wolności świętej na straży.

Na wodach życia, które podsyca
Fala po fali miłość to ból
Z łez skrysztalonych — dla ziemi sól,
Albo perłowa pieśni macica.

Polsko! twe perły, jeśli tam w głębi
Zamrą — umilknie ptaszęcy śpiew;
Od pól spłowiałych, od nagich drzew,
Wrzask się rozlegnie sów a jastrzębi.

Jeśli sól ziemi w tobie zwietrzeje —
Padnie na ludzi przestrach i mor;
Dzikie zwierzęta wylezą z nor,
Zaszumią wszędzie stepy a knieje.

Bóg nas nawiedził, Bracia, rozpaczą,
Ale naznaczył jej bliski kres;
Więcej że — więcej — o więcej łez,
Błogosławieni bo, którzy płaczą!

Bohdan Zaleski.

POD OBŁOKI.

(Z dziejów żeglugi powietrznej.)

(Do illustracyi.)

Rojenia człowieka, aby módz naśladować ptactwo, szybujące w powietrzu, sięgają bajecznych czasów. Skrzydła Ikara są mytem, mającym wszakże pewną podstawę, skoro w IV wieku przed Chrystusem matematyk grecki Archytas zbudował przyrząd w postaci gołębia mechanicznego, który po powietrzu latał. Nie brak wzmianek kronikarskich już w czasach chrześciańskich o ludziach latających za pomocą skrzydeł, zwłaszcza w XVI i XVII wieku. Wójcicki w dziele „Teatr starożytny w Polsce“ pisze: „Łukasz Piotrowski, profesor akademii krakowskiej (za Władysława IV) gdy raz przedstawiał w swoim dyalogu geniusza, na skrzydłach, które sam przyrządził, przez dach Nowodworskiej bursy z przedmieścia Retoryką zwanego, na teatr przyleciał i po odprawionej scenie na swoje miejsce odleciał.“



Balon Montgolfierów.

Podobnież włoscy kronikarze wymieniają jakiegoś Danti di Perugia, który miał przelecieć nad jeziorem Trazymeńskiem. Lecz wszystkie te opowieści, niepoparte opisem przyrządów, budzą powątpiewanie.

Już pewniejszemi są pomysły uczonych fizyków, jak np. w 1670 r. Franciszka de Lana, który projektował budowę czterech kul miedzianych, aby te po wytworzeniu w nich próżni, przez wypompowanie powietrza, dźwignęły statek powietrzny. Galien w 1755 roku posunął się dalej, marząc o wypełnieniu wielkich kul gazem lżejszym od powietrza.

Lecz wcielenia tych wszystkich pomysłów w czynie udało się dokonać dopiero braciom Montgolfierom: Józefowi i Stefanowi, fabrykantom papieru. Oni to właśnie są wynalazcami balonu puszczonego po raz pierwszy z rynku miasta Annonay we Francyi w dniu 5 czerwca 1783 roku. Balon ten miał 35 stóp w średnicy, ważył 450 funtów i dźwigał ciężar również 450 funtów. Dosięgnął on 1000 stóp wysokości i spadł o 12 tysięcy kroków od miejsca wzlotu.

W parę miesięcy później a mianowicie dnia 27 sierpnia 1783 r. nastąpił wzlot innego balonu w Paryżu z pola Marsowego. Balon zbudował zupełnie samodzielnie Jakób Aleksander Charles, według własnego systemu, w niczem nie naśladując Montgolfierów. Gdy „motgolfier“ miał powłokę z płótna podlepionego papierem, „szarliery“ zostały wyrobione z tkaniny powleczonej werniksem, wskutek czego stawały się dla gazów bardziej nieprzepuszczalne. Wreszcie Montgolfierzy użyli powietrza ogrzanego, Charles zaś wodoru.

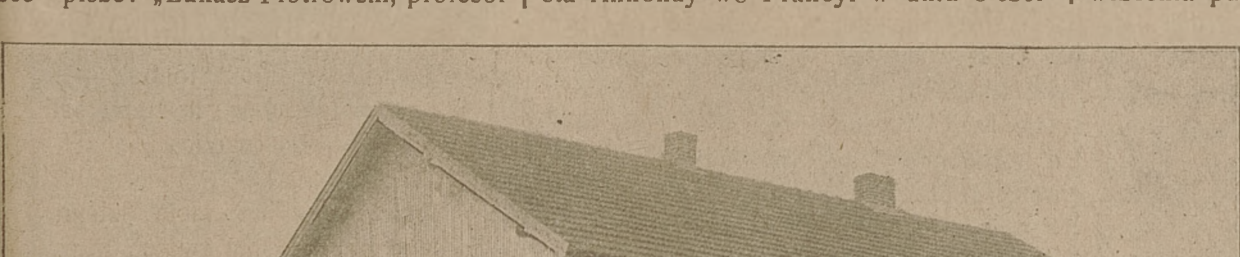
Balon paryski miał 12 stóp i 2 cale średnicy, ważył zaś tylko 25 funtów. Wzniósł się on w ciągu dwóch minut do wysokości 490 sążni i opadł o 5 mil



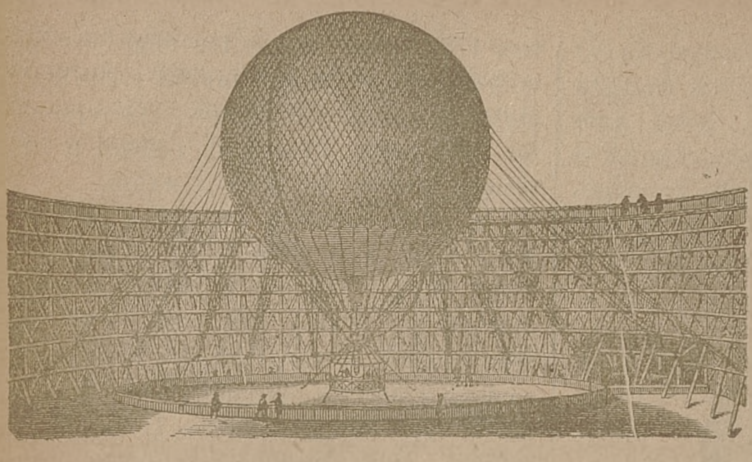
Balon Charles'a.

francuzkich za Paryżem we wsi Gonesse. Mieszkańcy tej miejscowości przerażeni spadnięciem nieznanego potworu rozszarpali balon widłami na strzępki. Tryumf Charlesa sprowadził do Paryża Stefana Montgolfiera, który w dniu 19 września puścił w Wersalu swój balon z uczepionym koszem, mieszczący owcę, gęś i koguta, które bez szwanku wróciły na ziemię.

Pierwszy wzlot ludzi balonem nastąpił dnia 21 listopada 1783 r. W tym celu Montgolfier przygotował balon o objętości 2,800 m. Pierwszymi aeronautami byli Pilatre de Roziers i markiz d'Arlandes; dosięgnęli oni 1,000 metrów wysokości i po kwadransie żeglugi swobodnie opadli. W dziesięć dni później, mianowicie dnia 1 grudnia Charles wraz z braćmi Robert poszedł za przykładem tamtych śmiałków i swoim balonem dosięgnął 2,000



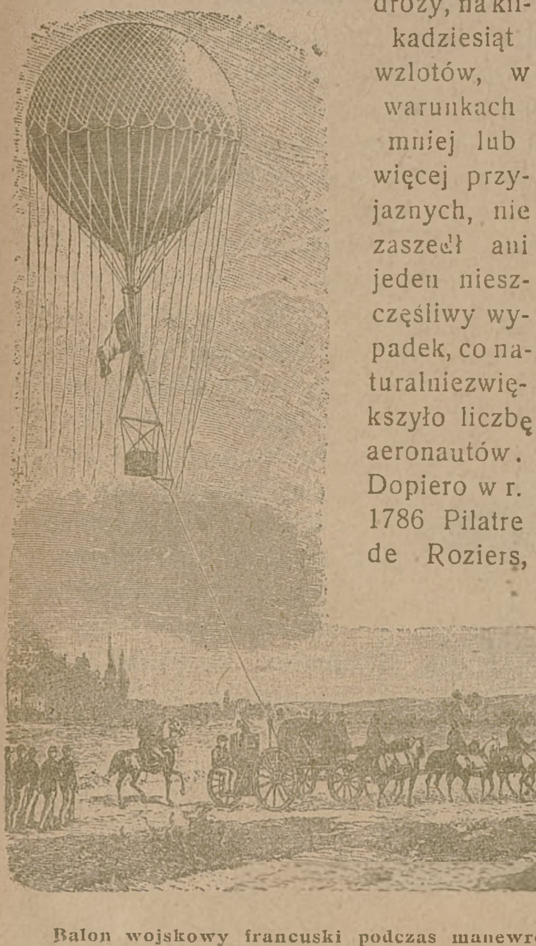
Szkoła ludowa w Reczpolu
Według fotografii zdjętej przez p. Romualda Kamieńskiego z Krasiczyna.



Balon Captif (uwiązany), Giffarda.

mtr. Dwie te wyprawy powietrzne znalazły wnet naśladowców i w innych krajach. W 1784 r. puszczali się balonami: Tydler w Edynburgu, Leonard w Londynie, Andreani w Medyolanie, Stuwer w Wiedniu. W Warszawie pierwszy wzlot balonowy nastąpił w 1788 r. już po ukazaniu się w druku rozprawy Osińskiego, prof. fizyki w konwikcie pijarskim, p. t. „Robota machiny powietrznej pana Montgolfiera." Francuzowi Blanchardowi, który przyjechał do Warszawy z balonem towarzyszył w żegludze karkołomnej Jan hr. Potocki. Na pamiątkę tej pierwszej w Polsce podróży powietrznej król Stanisław August polecił wybić medal. W 1804 r. był w Wilnie wzlot balonu jakiegoś Robertsona przy 18-tu stopniach mrozu.

Blanchard, ten sam, który się puszczał w Warszawie jeszcze w 1785 r., wraz z dr. Jefferie przelecieli nad kanałem Brytańskim z Anglii do Francyi. W trzyletnim okresie od pierwszej podróży, na kilkadziesiąt wzlotów, w warunkach mniej lub więcej przyjaznych, nie zaszedł ani jeden nieszczęśliwy wypadek, co naturalniezwiększyło liczbę aeronautów. Dopiero w r. 1786 Pilatre de Roziers, ten sam, który pierwszy z ludzi dokonał wzlotu przed trzema laty na montgolfierze, stał się też pierwszy ofiarą. Aeronauta chcąc uzupełnić wzajemnie zalety montgolfierów i szarlierów, skombinował dwa balony w jeden. Podczas wzlotu zapalił się wodor i w parę sekund oba balony spłonęły, a Pilatre spadł jako bezkształtna masa.



Balon wojskowy francuski podczas manewrów.

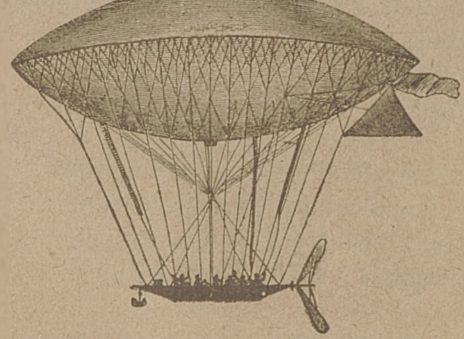
Do wyższych warstw atmosfery wznieśli się po raz pierwszy Robertson i Lhoste w Hamburgu (1792 r.) którzy dosięgli 7,170 metrów. Gay Lussac w 1804 r. wzbił się do 7,016 metrów, Barral i Bixic w 1854 roku do 7,049 m. a Rusch i Green w 1858 do 7,148. Wszyscy ci aeronauci nie przekroczyli jednak wysokości, do jakiej dochodzą najwyższe szczyty górskie.

Dopiero w 1862 r. dnia 5-go września Glaischer i Coxwel przedsięwzięli wyprawę, w której postanowili wzbijać się tak długo w górę, dopóki zdołają zachować świadomość istnienia. Pomimo obezwładnienia, jakie ich zaczęło ogarniać na wysokości 7,000 metrów, zdołali dotrzeć, według własnych obliczeń do 11,200 metrów. W każdym razie przekroczyli 10,000 metrów. Jest to niewątpliwie kres, po za którym czeka człowieka śmierć. Lecz niebezpieczeństwo grozi nawet w niższych warstwach. Dowodem tego smutnie zakończona wyprawa trzech uczonych francuskich, przedsięwzięta w 1875 r. dnia 15 go kwietnia. Już na wysokości 8,000 metrów Croce-Spinelli i Sirel ponieśli śmierć, trzeci zaś uczestnik głośny aeronauta i fizyk Tissandier ocalał, zapewne wskutek szczęśliwej odporności organizmu.

Kiedy w 1883 r. obchodzono stulecie balonów Montgolfiera i Charles'a, nastąpiło obliczenie wzlotów balonowych w ciągu stu lat. Oczywiście mimo ankiety, przeprowadzonej bardzo skrupulatnie, otrzymane dane cyfrowe nie są zupełnie ściśle, w każdym razie blizkie prawdy. Otóż w okresie stuletnim było w Europie 29,540 wypraw pod obłoki. Puszczało się ogółem 7,150 ludzi, z których 130 śmierć poniosło a około 300 doznało mniej lub więcej dotkliwych szwanków.

Stosunkowo mała liczba wzlotów była przedsiębrana w celach naukowych lub praktycznych (głównie militarnych), po większej części miały one charakter widowisk publicznych i szukania także silnych wrażeń.

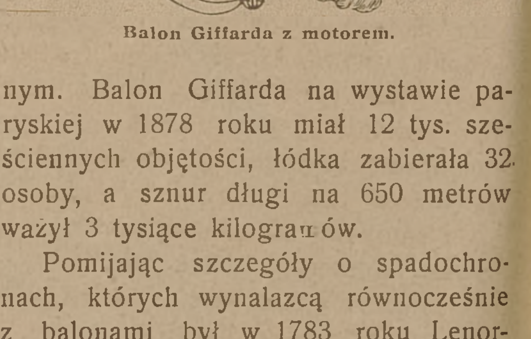
Zanim przystąpimy do treściwego opowiedzenia usiłowań w sprawie najważniejszej to jest: nadania kierunku balonom, zaznaczamy jeszcze, że najszybszy lot w kierunku poziomym osiągnęli aeronauci Fouviel i Tissandier, którzy przestrzeń 80 kilometrów między Paryżem a Neuilly-Saint-Front przebyli w równe pół godziny.



Balon z motorem Dupuy de Lome.

Wielkością odznaczał się balon „Olbrzym" Nadara, złożony właściwie z dwóch balonów, obejmujących 6 tysięcy metrów sześciennych gazu i 45 metrów wysokości. Łódka tego balonu, podobna do wagonu, mieściła 40 osób. Podróż, jaką Nadar przedsięwziął w Paryżu dnia 18 paźdz. 1870 r., skończyła się dość nieszczęśliwie, albowiem przy opuszczaniu się klapa zawiodła i balon długo był odbijany. Z dziewięciu podróżnych, czterech otrzymało ciężkie obrażenie i jeden z nich zmarł niebawem.

Jeszcze większy był balon uwiązany (balon captif) Giffarda. Balony tego rodzaju utrzymywane są na silnym sznurze, który rozwija sam balon, wznosząc się przy pomocy machiny parowej, balon zatem niepotrzebuje być wypróżnia-

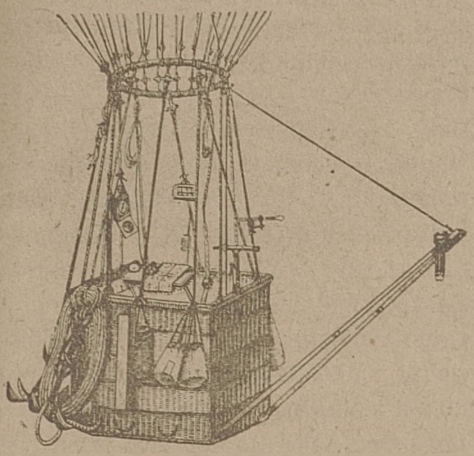


Balon Giffarda z motorem.

nym. Balon Giffarda na wystawie paryskiej w 1878 roku miał 12 tys. sześciennych objętości, łódka zabierała 32 osoby, a sznur długi na 650 metrów ważył 3 tysiące kilogramów.

Pomijając szczegóły o spadochronach, których wynalazcą równocześnie z balonami był w 1783 roku Lenormand, przechodzimy do najważniejszej strony aeronautyki, czyli do usiłowań przedsiębranych w kierunku ujarzmienia żeglugi powietrznej dla celów praktycznych. Balon w powietrzu oddany zupełnie na łaskę wiatrów nie może

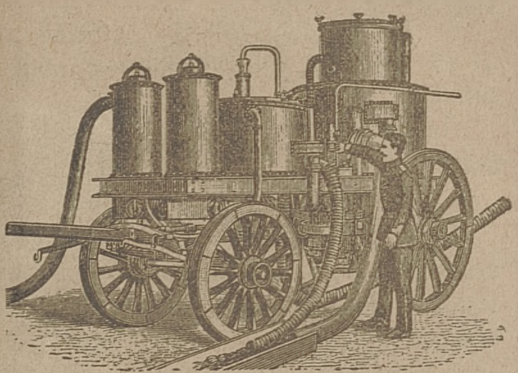
dążyć, dokąd chce aeronauta. Ztąd już podczas pierwszych prób w końcu XVIII wieku myślano o sposobach kierowania statkiem powietrznym. Bracia Robert w 1785 roku zaopatrzyli swój balon w czworokątny ster i pięć okrągłych skrzy-



Kosz z przyrządami do pomiarów meteorologicznych działającemi automatycznie.

deł, ale próba ta, jak i wiele następnych, do żadnego rezultatu nie doprowadziła.

Dopiero w naszych czasach sprawa ta zaczęła nabierać niejakich szans powodzenia, gdy Giffard powziął myśl, czyby nie można zastosować motorów parowych. Dla ławiejszego przezwyciężenia oporu powietrza nadał on swemu balonowi postać wrzecionowatą i zbudował maszynę parową, która przy ciężarze 45 kilogramów równała się sile dwóch koni parowych. Balon miał 44 metrów długości, objętość wynosiła 2,500 metrów sześc., maszyna parowa, w łódce umieszczona, wprawiała w obrót śrubę powietrzną, złożoną z trzech skrzydeł, mającą odgrywać rolę, podo-



Aparat z gazem Yona.

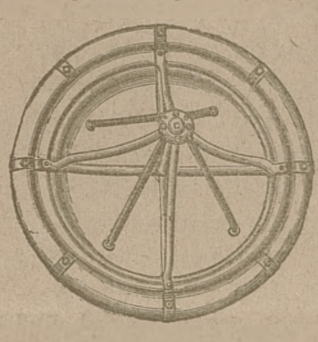
bną jak i w okrętach śrubowych. Nadto do nadawania balonowi żądanego kierunku ustawił Giffart żagiel trójkątny, niby ster powietrznego statku. Próby prowadzone w 1854 i 1855 roku z tym balonem zawiodły. Okazało się, że szybkość, jaką Giffard mógł nadać swemu balonowi, nie zdołała zwalczać prędkości unoszącego statek wiatru.

Wybitna rola, jaką odegrały balony w czasie wojny francusko-niemieckiej (1870—71), zachęciła do nowych usiłowań. Wiadomo, że z oblężonego Paryża od 23 września 1870 roku do 28 stycznia 1871 roku wypuszczono 64 balonów ze 155 osobami. Wśród tych



Balon Captif (uwiązany) z przyrządami gazowemi.

byli: Gambetta i dwaj inni członkowie rządu oraz astronom Janssen, który zdążał na obserwacyę zaćmienia słońca do Afryki. Nadto w balonach wysłano 9 tysięcy kilogramów listów i depesz oraz 363 gołębi pocztowych. Z gołębi po-



Górna klapa Yona.

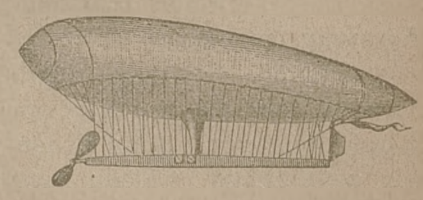
wróciło tylko 57. Z 64 balonów dwa wpadły w morze, jeden został uniesiony aż do Laponii a 6 dostało się w ręce niemieckie razem z 15-tu ludźmi, uważanymi oczywiście za jeńców. W każdym razie balony oddały Francuzom duże pożytki a od tej pory poczęła się wszędzie rozwijać aeronautyka wojenna.

W usłudze militaryzmu stosują się balony do różnych celów, przedewszystkiem zaś do rekognoskowania z góry okolicy i ruchów nieprzyjaciela. Balony z łódkami oraz kwas siarczany i



Balon z trapezem Yona.

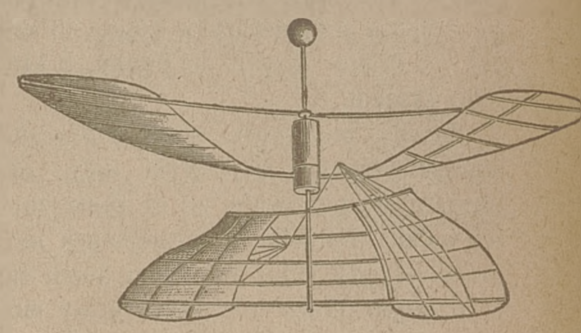
opiłki do otrzymywania wodoru przewożą się na wozach odpowiedniej konstrukcyi. Dla rekognoskowania nieprzyjaciela używa się zwykle balonów uwiązanych, posługiwano się już jednak (obecnie w Transwaalu) i balonami swo-



Balon z motorem Bernarda i Krebsa.

bodnemi. Niemniej podczas manewrów zaprowadzono balony ze światłem elektrycznem dla sygnałów na znaczniejszą odległość. Kwestya rzucania torpet i pocisków z balonów na nieprzyjaciela nie może być rozwiązaną, dopóki nie zostanie wynaleziony kierunek; zresztą prawa międzynarodowe, przynajmniej dotychczas, wzbraniają stosowania statków powietrznych do celów wspomnianych.

W przedmiocie zaś ujarzmienia balonów w powietrzu i oparcia się sile i szybkości wiatrów wciąż pracuje moc genialnych mechaników lub... biednych maniaków. Tych ostatnich, z których wielu straciło fortunę i... zmysły, pomijamy. Natomiast wspominamy o pierwszych. I tak w 1872 r. Dupuy de Lôme, naczelny konstruktor marynarki francuskiej, zbudował balon o objętości 3,500 m.; śruba umieszczona na końcu łodzi, składała się z czterech skrzydeł, z których każde miało 1 m. szerokości a 4 m. długości. Były to ramy dre-



Śruba skrzydłowa u steru balonowego.

wniane, obciągnięte tkaniną jedwabną. Śruba poruszana przez 7 ludzi znajdujących się w łodzi, przy ciszy powietrza nadawała balonowi szybkość 2,2 m. na sekundę. Zdołano więc osiągnąć pewne zboczenie od kierunku wiatru, lecz motor przy silniejszym prądzie nic nie mógł poradzić.

Prawie jednocześnie inżynier niemiecki Haenlein zastosował do balonu swego motor gazowy Lenoir'a, a przy takiem urządzeniu balon osiągnął szybkość własną 5,2 m. na sekundę. Był to znów krok dalej, lecz kapitalnej sprawy: stanowczego opanowania kierunku, nie rozstrzygnął.

Rozwój machin elektrycznych wska-

zał jednak, że tylko one odpowiedzą celowi, gdyż maszyna dynamo-elektryczna łącznie z obsługującą bateryą galwaniczną, może być dostatecznie lekką, by balonu zbyt nie obciążała, zachowując przytem zawsze niezmienny ciężar. Pomysł ten powzięli w 1882 roku bracia Gaston i Albert Tissandier, zastosowawszy taki motor elektryczny do balonu Giffarda. Szerszego rozwinięcia tej zasady dokonali w rok później kapitanowie francuscy: Karol Renard, dyrektor wojskowego zakładu aerostatycznego w Meudon i jego pomocnik Karol Krebs. Do wytwarzania prądu elektrycznego użyli bateryi galwanicznej, złożonej z 32 ogniw, która wprawiała w ruch machinę dynamo-elektryczną, wywołującą obrót wielkiego wału, na którego końcu osadzona jest szruba, złożona z dwóch skrzydeł. W tylnej części łodzi umieścili ster, zbudowany, podobnie jak i szruba, z drewnianego rusztowania, obciągniętego jedwabiem. Długość balonu wynosiła $50^1/_2$ m., szerokość $8^1/_2$ m., objętość $186^0/_0$ m. sześciennych, a waga ogólna około 2 tysiące kilogramów. Łódka ze sztywnej trzciny również była obciągnięta jedwabiem a to dla zmniejszenia tarcia. Wewnątrz tego balonu uwieszono mały balonik, zwany kompensatorem. Odgrywał on niejako rolę pęcherza pławnego u ryb, za pośrednictwem bowiem rury schodzącej do łódki, można było powietrze w baloniku dowolnie zgęszczać lub rozrzedać, co ułatwiało ruchy balonu w kierunku pionowym. Pierwszy wzlot balonem Renarda i Krebsa dokonany w dn. 9 sierpnia 1384 r. powiódł się. Balon przybywszy w ciągu 23 minut 7,6 kilom. wrócił do punku, z którego wyszedł.

Zasada możliwości walki z prądami atmosforycznemi zwyciężyła tedy, ale okazało się ponownie, że do skuteczności walki, potrzeba potężniejszych motorów. I gdy jedni aeronauci kusili się w dalszym ciągu obmyślać nowe motory, inni jak np. Yon udoskonalili aparat gazowy do napełniania balonu, dalej obmyślili klapę wentylacyjną, wreszcie wynaleźli przyrząd w formie trapezu do bezpiecznego spuszczania się na ziemię.

W 1880 r. Campbell w Ameryce zbudował balon bardzo zawiłej konstrukcyi o kilku śrubach. Nie zdołał wszakże w czasie wzlotu użyć motoru, a uniesiony wiatrem, utonął w Atlantyku.

Obecnie dochodzą wieści z dwóch stron o innych motorach, dotąd dopiero teoretycznie obmyślanych W Ameryce buduje statek powietrzny jakiś Lewsen, który otrzymał pomoc materyalną od jednego z tamtejszych miliarderów, a w Rzymie uczynił w tym kierunku wynalazek rodak nasz, znany artysta-rzeźbiarz Wiktor Brodzki. Podobno wynalazek Brodzkiego zainteresował liczne koło specyalistów i są już zapewnione środki materyalne, jakich wymaga budowa statku powietrznego.

Czy to już będzie aeroplan prawdziwy w znaczeniu ujarzmienia prądów atmosferycznych, czy tylko jeszcze jeden nowy krok naprzód w usiłowaniach podejmowanych przez całe stulecie? — niezadługo zapewne będzie wszystkim wiadome. Bądź co bądź, wielka, doniosła dla całej ludzkości sprawa kierowania balonami, czyli zaprowadzenie prawidłowej bezpiecznej żeglugi powietrznej, wciąż się posuwa naprzód. Możliwości tego genialnego wynalazku w blizkiej lub dalszej przyszłości nikt już chyba nie zaprzeczy.

Nostcr.

Z tysiąca i drugiej nocy.

Sułtan miał znów noc bezsenną. Reumatyzm rozbierał go po kościach, strzykało mu coś w krzyżach, a kaszel w dodatku dusił nieznośnie.

W ogrodzie sułtańskim noc tymczasem wabiła wszystkiemi czarami Wschodu. Dymiły ku gwiazdom trybularze róż purpurowych, gwiazdy skrzyły się w przezroczystym granacie nieba, jak dyamenty, a słowiki zawodziły chórem w krzewinie pieśń miłości.

Wietrzyk, wsłuchany w tę pieśń melancholijną, wzdychał, a fontanny łkały cicho i sypały łez perłami.

Sułtana jednak wszystko drażniło; kazał zamknąć szczelnie okna, żeby go nie dochodził ani zapach róż, ani migotanie gwiazd, ani wzdychanie wietrzyka, ani łkanie fontanny, a zwłaszcza pieśń słowika.

— Ot, drze się tylko i spać nie daje — mówił z gniewem.

A to nie słowik, lecz reumatyzm spać nie dawał potężnemu padyszachowi wiernych.

Słodka Szecherezada czuwała również, albowiem i ją już kaszel krztusił i bóle wszelakie trapiły, ile że „starość nie radość,“ jako powiedział jeden z mędrców Wschodu. Jednakże zachowała ona fantazyę lotną i nie raz jeszcze umiała spędzić troskę z oblicza sułtana piękną opowieścią. Tedy, zakaszlawszy się, rzekła:

— Jeżeli potężny władca rozkaże, sługa jego opowie mu nową bajkę.

A sułtan, stęknąwszy, mruknął:

Powiedz, słodka Szecherezado, powiedz... może prędzej usnę.

I Szecherezada głosem nosowym zaczęła:

Opowieść o kamieniu derwisza.

W mieście Balsorze, które zowią także Bassorą albo Basrą, panował przed laty sułtan potężny i mądry.

A miał on syna jedynaka, który się zwał Sidi Ben Bibi i kończył nauki wśród grona największych mędrców, prawdziwych studni mądrości. Sidi Ben Bibi był chciwy wiedzy i czerpał ze studni obficie, ku zaspokojeniu swego pragnienia. Ale gdy zmężniał i wyrósł, zaczął się nieraz zamyślać. Zdarzało się też, iż gdy w pięknej sali marmurowej, ślęcząc nad mądrością Al-Koranu, albo zgłębiając tajemnice sztuki arabskiej algebry, albo zatapiając się wśród tajemnic astrologii, oko jego zabłądziło nieraz przez okno do ogrodu, gdzie wsród cyprysów i róż pluskała fontanna, a w księżycowe noce zawodził śpiewak miłości.

W tym zaś ogrodzie chadzały po ścieżkach trzy dziewice, najpiękniejsze klejnoty ze skarbca Wielkiego wezyra, trzy jego córy: Zefira, Zulejka i Aldobra.

Gdy dziewice te szły, lekko stąpając po złocistym piasku, Sidy Ben Bibi zamyślał się, a siedmiu mędrców, jego nauczycieli, zamyślało się również, albowiem przeczuwało, że ich uczeń nie rozważa w tej chwili ani Al-Koranu, ani tajemnic algebry.

Kiwali więc siwemi głowami i wraz poszli do sułtana, aby mu donieść, że syn wypił już dość ze studni mądrości, a teraz łaknie życia.

— Wielki padyszachu — rzekli — trzeba Sidi Ben Bibiemu znaleźć godną sułtankę.

Sułtan uznał słuszność projektu uczonych mężów i zadecydował:

— Aman. Niech się tak stanie.

Lecz gdy zapytał Sidy Ben Bibiego, czy serce jego uczyniło wybór, młody sokół zdradził niemałe zakłopotanie, albowiem, jako mówił, widział trzy dziewice i nie wie, którąby więcej ukochał.

— Jakto? — zdziwił się mądry i potężny sułtan — żadnej nie kochasz mocniej?

— Nie mój ojcze. Otom je widział i podziwiał, albowiem są one jako trzy cudne perły w naszyjniku, równego blasku i wielkości, jako trzy gwiazdy równej siły, jako trzy róże równej woni.

Sułtan pokiwał głową, utaił uśmiech w swej siwej brodzie i rzekł:

— Jednakże, synu, wypada ci wybrać jedną. A na ten wybór daję ci trzy dni czasu.

Sidi Ben Bibi przez dwa dni spoglądał przez okna pałacu na Zefirę, Zulejkę i Aldobrę, ale wyboru nie uczynił

Biadał więc w sercu swojem, rady jednak żadnej nie znajdywał.

Szczęściem przypomniał sobie, że w pałacu żył mąż bogobojny, derwisz wędrowny, który był w Mecce sto razy i oddychał cały mądrością. Do owego derwisza poszedł Sidi Ben Bibi i opowiedział mu kłopot swój ciężki.

Derwisz nie zdziwił się, lecz tylko wyszeptał:

— Oj, młody, młody! — a potem zapytał:

— Czy nie starałeś się, synu, wybadać przynajmniej charakteru trzech dziewic?

— E, mój ojcze, alboż kto zbada charakter kobiety przed ślubem?

Derwisz potaknął głową:

— Masz racyę, mój synu. Mądrość przemawia przez usta twoje i niedarmoś widać pił ze studni siedmiu mędrców. Ale strzeż się poznać charakter kobiety dopiero po ślubie! Wtedy cofać się już za późno, a zła sułtanka dom ci do góry nogami przewróci i życie twoje starga. Tymczasem zaś powiedz mi, mój synu, jaką chciałbyś mieć żonę?

— Piękną i dobrą.

— Pięknemi, powiadasz są wszystkie trzy, i Zefira i Zulejka i Aldobra. A co nazywasz dobrocią?

— Dobrocią, jak powiadają, mędrcy, jest słodycz serca i łagodność charakteru, i rozwaga, i prostota, i mądrość, i...

— Dość, dość! — zawołał derwisz wznosząc ręce. — Nie wymagajmy niepodobieństwa. To coś rzekł, mój synu, wystarczy już dla zapewnienia szczęścia męża. Obyś znalazł taką sułtankę wśród twoich trzech pereł, życzę ci szczerze. A teraz dozwól mi zastosować mój sposób i wykryć przymioty lub wady charakteru trzech wskazanych przez ciebie dziewic.

— Jakże to uczynisz, mój ojcze?

— To mój sekret! — odpowiedział derwisz — ale to ci powiadam, że dowiesz się o charakterze cór wielkiego wezyra dziś jeszcze przed zachodem słońca.

I derwisz ukrył swój złośliwy uśmiech w długiej siwej brodzie, litując się nad niedomyślną młodością.

— Czy còry wezyra zawsze chodzą po ogrodzie?

— Codziennie. Tylko co ich nie widać.

— Tedy chodźmy, mój synu, a możesz mi przygotować kamień probierczy, który odróżni lichy metal od szczerego złota.

Młodzieniec i derwisz poszli do ogrodu, gdzie mędrzec upatrywał tylko kamienia probierczego. Znalazł go wreszcie i z pomocą sułtanowego syna ułożył na ścieżce.

— Teraz — rzekł — schowajmy się i czekajmy rezultatu próby.

Była to właśnie chwila, gdy księżniczki udawały się do kąpieli. Szły one nie razem, lecz oddzielnie, z czego już derwisz wyciągał pewne wnioski. Pierwsza szła Zefira. Biegła ona raczej, niż szła, śmiejąc się i śpiewając. W drodze swej zrywała kwiaty, goniła motyle i przebiegała od jednego krzaku do drugiego. Jej ruchy żywe i pełne wdzięku, jej wesołość i szczebiot miły dla ucha, wywarły wrażenie na młodzieńcu, który odrywając na chwilę oczy od lubego obrazu, oparł je na pomarszczonej twarzy derwisza z niemem pytaniem. Derwisz zrobił tylko grymas znaczący i mruknął:

— Płochość!

W tej chwili księżniczka Zefira nadbiegła w to miejsce, gdzie był położony kamień. Oczywiście, nie spostrzegła go, wpadła nań z impetem i omal się nie przewróciła. Zatrzymała jednak równowagę, a spojrzawszy na ścieżkę, zawołała:

— Brzydki kamieniu, co ty tu robisz?

A potem nie zatrzymując się, pobiegła dalej, goniąc motyle i zrywajac róże.

Ledwie zniknął ruchomy i jakby lotny obrazek Zefiry, gdy na ścieżce w pewnej odległości zarysowała się pełna wdzięku sylwetka drugiej księżniczki. Szła ona powoli i posuwiście, trzymając dumnie wzniesioną swą piękną głowę. W drodze nie oglądała się ani na kwiaty, ani na motyle, lecz jak gdyby pogrążoną była w kontemplacyi swej osoby. Była to już jakby sułtanka, pełna powagi i uroku.

Młodzieniec nie mógł oderwać od niej oka, gdy zaś spojrzał pytająco na derwisza, derwisz zmarszczył tylko brwi i mruknął:

— Samolubstwo.

Tymczasem księżniczka zbliżyła się do kamienia i potrąciła go nogą. Wstrzymała się więc, piękne jej czoło przecięła zmarszczka gniewu, usta odęły się dumnie i głosem, w którym brzmiał gniew tłumiony, rzekła:

— Niegodziwy kamieniu, kto cię tu położył na mej drodze?

Potem, obejrzawszy się nieco na stronę, poszła dalej, sunąc lekko i powiewnie, jak urodzona sułtanka.

Zaledwie znikła, gdy nowa sylwetka zarysowała się w błękitnej dali, na tle zielonawem ogrodu. Była to księżniczka Aldobra. Szła ona bez pospiechu, rozglądając się wśród otoczenia oczyma gazeli, w których świeciła inteligencya i słodycz. Od czasu do czasu rozgarnęła po drodze liście, wyprostowała jaką pochyloną rożę, podniosła motyla rzuconego na ścieżkę przez siostrę, lub postawiła na nóżki leżącego na grzbiecie chrząszczyka i biedzącego się w tej pozycyi.

Była ona w tych ruchach swych, powolnych i świadomych celu, tak piękną, że młodzieniec z trudnością oderwał od niej oczy i oparł je znów na obliczu derwisza, z niepokojem badając wrażenie.

Ten jednak nic nie mówił, obserwował tylko dziewicę oraz młodzieńca i uśmiechał się dobrotliwie, gładząc długą i siwą brodę.

W tej właśnie chwili dziewica przybyła do miejsca, gdzie był położony kamień. Spostrzegła go i zbliżyła się do niego.

— Biedny kamieniu! — rzekła — ileż ty złego możesz tutaj zrobić, leżąc tak na drodze.

I zaczęła z wysiłkiem swemi białemi rękami spychać kamień z drogi. Następnie uśmiechnięta i zadowolona poszła dalej, znikając na zakręcie drogi.

Derwisz pochwycił teraz za rękę młodzieńca i wskazując na oddalającą się księżniczkę, powiedział:

— Oto masz, mój synu, godną ciebie sułtankę. Pierwsza z trzech sióstr płocha, lekkomyślna i kapryśna, byłaby złą panią domu; druga samolubna, dumna i gniewliwa, byłaby złą żoną. Ale trzecia jest rozważną, inteligentną i szlachetną; uniknęła ona sama przeszkody i usunęła ją, by innym nie zawadzała. Ta jest, która będzie sułtanką twego domu przez rozum, a towarzyszką twoją przez serce. Otom rzekł. Bądź szczęśliwy, mój synu.

I derwisz udał się do swojej izby, a Sidi Ben Bibi, pełen radości, poszedł oświadczyć ojcu o swym wyborze, jakkolwiek historya milczy o tem, czy nie wybrał Zefiry, albowiem płochość i kaprys mają najwiekszy wdzięk dla mężczyzny.

. . . .

Tu westchnęła Szecherezada, myśląc o dniach swojej młodości i czekając, aby padyszach wypowiedział swe zdanie. Ale padyszach... chrapał od dawna.

(Według Pawła Galibera).

E. B.

ZŁOTE MYŚLI.

Tyle dzisiaj namnożyło się fałszywych monet, że i prawdziwa zasługa kursu niema. *A. Fredro.*

Wszyscy sobie zazdrościm, a to jest największym dowodem, że nie mamy sobie czego zazdrościć. *Krasicki.*

PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy“ przez Laurę Zejdowską.

Przedruk wzbroniony.)

17) (Ciąg dalszy.)

Thiellay zbliżył się do Moeba, spojrzał mu prosto w oczy i odezwał się tonem groźby.

— Nędzniku.... dowiem się kto jesteś, i jeżeli się przekonam, żeś moim bratem, wtedy nie będę mieć nad tobą litości! Chodź Klaro, odprowadzę cię do domu. Hrabia podał ramię młodej dzieweczce, pożegnał ją na progu domu Jana, poczem wrócił do pałacu i poszedł do pokoju Urbana, który wstał z uszanowaniem i czekał, aż hrabia zajął miejsce i zaczął mówić.

— Widziałem Luizę, to dziecko kocha cię całą duszą.

— I ty, ojcze, nie będziesz mieć nad nami litości? Zapytałem ją, czy ona z czystem sumieniem uważa się za godną zostać twoją żoną.

— A ona... ona powiedziała, że nie?

— Naturalnie, wyznała także, że nigdy nie miała podobnej myśli.

— Tak.... ale za to ja tak myślałem i zamiaru nie zmienię.

— Mój synu, wielką mi sprawiasz boleść. Wiedzże moje dziecko, że ja nie ustąpię nawet wobec łez jej i twoich.

Na drugi dzień Urban odwiedził Luizę, ona ze łzami w pięknych oczach, mówiła mu o konieczności rozłączenia.

— Luizo! i ty będziesz miała odwagę?

— Muszę być posłuszną twemu ojcu, nic nie uczynię przeciwko jego woli.

— Ty mnie nie kochasz! Nigdy nie kochałaś!

— Kocham cię nad życie i nigdy nikogo już kochać nie będę.

— Przysięgnij mi to Luizo!

— Przysięgam... lecz na cóż się to zdało!

— Luizo, a ja ci powiadam, nie trać nadziei.... Zachowaj mnie w swojem sercu... jakieś dobre przeczucie mówi mi, że wkrótce będziesz moją żoną.

— Nie będę nią nigdy wbrew woli twego ojca.

— Ja mam przeczucie, że to on, on sam przyjdzie tu i nazwie cię swoją córką.

— Oh! Boże! Czyżby to było możliwe?

Oczy dzieweczki z łez obeschły, zajaśniał w nich promień szczęścia, a kiedy Urban odszedł, Luiza już marzyła o rozkosznej obok niego przyszłości!

ROZDZIAŁ TRZECI.

NARESZCIE.

Pociąg idący z Tours zatrzymał się na stacyi Druye o 7 wieczorem, wysiadła z niego jedyna podróżna, ubrana czarno, to była Karolina Lamarche. Twarz jej wyrażała taki smutek, taką troskę i przygnębienie, że wzbudzić mogło litość w każdem sercu. Od chwili wyjścia z więzienia szukała swoich dzieci. Nigdzie nie znalazła nawet śladu; chora, zrozpaczona, wracała do Bertelena, żeby odpocząć trochę i znów rozpocząć poszukiwania. Poszła ze stacyi dobrze znaną drogą i po 20 minutach stanęła przed domem. Jan nie spał jeszcze, okna były oświetlone, Karolina zbliżyła się, psy zaczęły szczekać. Jan wyszedł, a widząc przed sobą jakąś nieruchomą postać kobiecą, zapytał.

— Czego pani żądasz, kogo szukasz?

Janie... powiedziałeś mi, że dom twój, będzie moim domem... przychodzę, bo jestem nieszczęśliwą, nie odnalazłam moich dzieci i brak mi już sił!

Karolino! Nareszcie!

Podszedł do niej, wyciągnął ramiona, a ona nie miała sił podać mu dłoni, oparła się o ścianę i mówiła słabym głosem.

Cieszę się, że cię widzę Janie, a jednakże nie jestem szczęśliwą, bo myślę tylko o tych, co utraciłam.

Te, które ona utraciła, były tam blisko niej, jedno słowo, Jan mógł je przywołać, lecz to szczęście zbyt wielkie, mogło ją zabić, trzeba było ostrożnie przygotować biedną matkę.

— Dlaczego nie pisałaś do mnie, Karolino?

— Na co... jestem tak nieszczęśliwą, cóż ty byś na to poradził?

— Może umiałbym cię pocieszyć... pomagać...

— Janie, przez litość, ty wiesz coś.

— Nie... nie... nic. Chodź do pokoju.

Weszli, w pokoju przy świetle lampy, Karolina patrzała uważnie na Jana, zadziwiła ją radość w jego błyszczących oczach, więc go pytała o powód.

— Cóż w tem dziwnego, moja droga.. ty wróciłaś!

— Ach! tak wiem, ty mnie kochasz!

— Chodź Karolino, jesteś tak zmęczona, zaprowadzę cię do twego pokoju, który dawno czeka na ciebie.

Weszli na piętro, przez drzwi pokoju drugiego słychać było rozmowę młodych dziewcząt. Karolina stanęła zadziwiona.

— Kto tam jest?

— Oh! to... moje siostrzenice...

— Ty masz siostrzenice Janie, nie mówiłeś mi nigdy o tem!

— Bah! cóż robić... czasem spadnie komu taka rodzina... musiałem je przyjąć...

— Ja chce je poznać... zaraz.

— Nie, nie można, to są dorosłe panny i wielkie elegantki, a to już późna godzina, nie wypada...

— A w jakim wieku?

— Tak pewno lat 18-ście.

— Wiek moich dzieci... Janie, błagam cię, pokaż mi te panienki.

— Jeżeli chcesz tak koniecznie, wejdźmy tam do tego pokoiku, on także do nich należy, uchylę drzwi, to je zobaczysz z daleka, tylko ostrożnie.

Weszli, stanęli i słuchali, jedna z dziewcząt płakała, druga starała się ją pocieszyć.

— Kocham go, a nie mogę do niego należeć.. jego ojciec mi to powiedział.

— Tak Luizo, jesteś nieszczęśliwą, ale przynajmniej możesz sobie powiedzieć, żeś godną jego miłości, ja Luizo kocham także, a nie jestem wartą tego, który mnie kocha.

— Jeżeli on cię kocha, przebaczy i zapomni.

— Niestety, nie wiem tego.

— Siostro... czy ty pamiętasz naszą modlitwę, którą mówiłyśmy zawsze razem w przytułku?

— Modlić się.. na co... ja już w nic nie wierzę... jestem zgubioną.

— Trzeba się modlić, prosić Boga, żeby nam wrócił matkę.

— Matkę? Czyż ona wróci nam honor, czy zatrze plamę naszej przeszłości?

— Siostro, sprawiasz mi wielką boleść.. chodź odmówiemy razem modlitwę.

Luiza pociągnęła Klarę, uklękły przed otwartem oknem i ręce złożyły do modlitwy. Karolina powoli słysząc ich rozmowę, przeczuła kogo ma przed sobą, teraz poznała je, to były jej córki, chciała się rzucić ku nim, lecz Jan powstrzymał ją słowy: „Jeszcze nie czas.“

Mów Klaro, ja ci pomogę.

Mój Boże miej w opiece dzieci, które już matki nie mają....... daj, aby uznano niewinność naszej biednej matki...

Dzieweczki jeszcze nie dokończyły modlitwy, kiedy obok nich odezwał się głos jedynej na świecie istoty, która te słowa wymówić mogła, głos ten mówił wolno, dobitnie.

Przebacz tym wszystkim, co jej źle czynili, tak jak ona przebaczy im w godzinie śmierci.

Siostry zerwały się, ręce ich połączył uścisk, patrzały sobie w oczy, nie mając odwagi wierzyć w niespodziewane szczęście, nareszcie spojrzały; tam drżąca, blada, oparta o ścianę stała kobieca postać ze łzami w oczach, wyciągając do nich ramiona. Wtedy wydały obie okrzyk, co streszczał całe ich życie, który zawierał w sobie wszystkie przebyte cierpienia i radość szaloną.

— Mama! to mama!

Padły w objęcia Karoliny, ona je przycisnęła do siebie okrywając jasną i ciemną główkę gorącemi pocałunkami. Pośród tych pocałunków zmięszanych ze łzami, słychać było ciągle powtarzane mamo! mamo! Oh! moje drogie kochane maleńkie! Bertelin odszedł, chciał, aby te pierwsze chwile powitania zeszły im bez świadka.

Nareszcie uspokoiły się na tyle, że zaczęły rozmawiać, Karolina najpierw zwróciła się do Luizy, która opowiedziała jej to, co zaszło od czasu ich rozłączenia, pobyt w przytułku, ucieczkę swoją, chorobę, podróż i powrót do kraju, lecz na zapytanie matki, w jaki sposób odnalazła siostrę Luiza, nie chciała odpowiedzieć, widziała przerażenie w oczach Klary, lecz matka nalegała zaniepokojona, więc prawdę w końcu wyznać trzeba. Luiza mówiła, starając się oszczędzać siostrę.

Pewnego dnia błądziłam nad Sekwaną, szukając zarobku, jacyś nędznicy napadli na mnie... wołałam pomocy... Klara nadbiegła... ona ocaliła mnie jakby cudem... od tego dnia już się z nią nie rozłączyłam.

Tłómaczenie to na razie uspokoiło Karolinę, zwróciła się tedy do Klary, prosząc, aby ona teraz opowiedziała o sobie. Nieszczęśliwa dzieweczka uklękła, a czoło pochyliła do nóg matki.

— Klaro!... Co to jest, dlaczego klękasz?

— Bo tak trzeba moja matko!

— Masz coś na sumieniu Klaro? Oh! dziecko moje czyż byś ty... nie, nie, moja córka nie może być występną!

— Mamo! Miej litość... wysłuchaj mnie, potem będziesz sądzić.

Opowieść była długa i nie tak spokojna jak Luizy, Karolina słuchała w milczeniu, zrozumiała nareszcie upadek swego dziecka, lecz była nieczułą na prośby przebaczenia, o jakie obie dzieweczki błagały ją gorąco.

— Niestety... myślałam, że odnalazłam obie moje córki... ale tak nie jest, została mi tylko Luiza, drugą straciłam!

Klara, słysząc ten wyrok, zbladła śmiertelnie i jakby martwa padła u nóg matki, Luiza przerażona, nalegała coraz silniej, wskazała matce nieruchomą postać i mówiła z mocą.

— Matko przebacz... patrz, ty musisz przebaczyć... przebacz, bo ona umiera.

Dłużej już serce matki nie mogło się opierać, pochyliła się nad Klarę, pocałowała jej czoło, biedne dziecko odżyło w jednej chwili.

— Wstań Klaro, przebaczam ci, oprzeć się możesz śmiało na sercu matki.

Uścisk znów połączył trzy nieszczęśliwe istoty, noc już nadeszła, one zasnęły razem... nareszcie razem!

ROZDZIAŁ IV.

Mściciel.

Od dnia rozłączenia z synem doktor Marignan zmienił się bardzo, z początku starał się opanować swój smutek i oparł się stanowczo woli Gustawa, który mu powiedział: „Napraw omyłkę lub wszystko między nami skończone.“ Tygodnie biegły za tygodniami, doktor nie miał żadnych wiadomości od syna; szukał sposobności zawiązania korespondencyi z powodu interesów majątkowych, lecz listy nie otwierane zwracano mu z powrotem, a sprawy majątkowe załatwiał notaryusz.

Nakoniec doktor nie mogąc opanować tęsknoty, pojechał do Paryża i zamieszkał w hotelu obok ogrodu Luxemburskiego, ale że nie miał odwagi iść do Gustawa, krążył koło jego mieszkania, wypytywał odźwierną, aż pewnego dnia zobaczył syna zdaleka, lecz był tak wzruszony, że ukrył się i Gustaw go nie widział. W kilka dni potem, znaleźli się niespodziewanie wobec siebie, ojciec patrzał błagalnie, wyciągnął rękę do syna, lecz on przeszedł obojętnie, jakby go nie znał wcale.

Starzec był już doprowadzony do rozpaczy, czekał kilka dni, nareszcie zebrawszy całą odwagę stanął u drzwi mieszkania syna. Służący powiedział mu, że pan nie przyjmuje nikogo. Doktor podał kartę mówiąc: ale mnie przyjmie napewno.

— Jakto nawet ojca?

Służący spojrzał zadziwiony i ustąpił, zresztą doktor bez dalszych pytań wszedł śmiało i znalazł się wobec syna. Gustaw nie prosił go siedzieć, nie podał ręki i zapytał sucho.

— Pan pragniesz mówić ze mną? Słucham pana.

— Mój synu, błagam cię.....

— Czy to w sprawie Pijaczki chcesz pan mówić?

— Nie... ale ja jestem chory... cierpię tak bardzo..

— Cierpienia te niczem są wobec tego, co przeszła ta nieszczęśliwa kobieta od lat dwunastu.....

— Ja też cierpię... to mnie doprowadzi do waryacyi!

— To wyrzuty sumienia. Czy wiesz, co się stało z córkami Karoliny? One były tam zbyt nieszczęśliwe, one uciekły z przytułku, musiały się rozłączyć, przez 6 miesięcy jedna o drugiej nie miała żadnej wiadomości, teraz są już razem, lecz tylko jedna z nich, Luiza, pozostała dzieckiem czystem i niewinnem, druga Klara... upadła, widzisz, to nowa twoja zbrodnia! Ale to jeszcze nie wszystko...

— Cóż takiego, Gustawie, jakież nowe nieszczęście?

— Tak, jest jeszcze jedno, większe, straszniejsze od innych, ta. która upadła, Klara...

— Cóż ona znów...

— Ja ją kocham!

Doktór opuścił głowę i stał w milczeniu. Gustaw pewien był, że teraz nareszcie pokonał starca, że zgodzi się dobrowolnie naprawić winę, lecz się niestety omylił. Marignan po chwili wyszedł, nie wypowiedziawszy ani słowa.

Na drugi dzień znów zobaczył Gustaw ojca na ulicy, lecz zaledwie go minął, usłyszał okrzyk, odwrócił się i ujrzał starca bez czucia na ziemi, otoczonego ciekawymi. Przedostał się przez tłum, mówiąc, że jest doktorem, kazał chorego przenieść do apteki, gdzie udzielił mu szybkiej pomocy, lecz zaledwie doktór wrócił do przytomności, Gustawa już nie było.

Choroba ta nie trwała długo, po kilku dniach doktór wrócił do Tours, lecz tak bardzo był zmieniony, że znajomi zaledwie go poznawali. Oczy jego pałały nienaturalnym blaskiem, chodził po ulicach jak nieprzytomny, mówił głośno sam do siebie, tak że w końcu mówiono, że doktór ma napady obłąkania i to była prawda. Prawda tem okropniejsza, że on sam w chwilach przytomności bardzo dokładnie zdawał sobie sprawę ze swego stanu.

Z dnia na dzień obliczał, ile mu jeszcze dni i miesięcy pozostało, a potem umysł jego na zawsze pokryją ciemności. Wierny i stary sługa doktora zaniepokojony chorobą pana, zawiadomił syna, prosił o radę i pomoc, gdyż starzec miewał coraz silniejsze ataki. Gustaw pośpieszył natychmiast i znalazł się u łoża przytomnego chwilowo ojca.

— To ty, moje dziecko... ty naprawdę?

— Ja... powiedziano mi, że jesteś chory, przyjechałem, żeby cię pielęgnować i wyleczyć.

— Wyleczyć... to niemożliwe... to waryacya. Czy dasz wiarę Gustawie, że ja muszę zwaryować!

Jednakże choroba nie czyniła zbyt szybkich postępów, może na to wpłynęła obecność syna i troskliwa opieka, to też pewnego dnia Gustaw powiedział do ojca:

— Jesteś zdrów ojcze, teraz odjadę, nie jestem już tu potrzebny.

— Nie wrócisz więcej?

— Nie.

— Jakto, ciągle masz w głowie tę rehabilitacyą?

— Tak, trzeba jej wrócić cześć i jej córkom!

— No to wiedz, że ja nigdy tego nie uczynię.

— Żegnaj mój ojcze, wszystko między nami skończone!

— Gustawie, nie odchódź.

— Słuchaj mnie ojcze, daję ci trzy dni czasu do spełnienia twego obowiązku.

— A jeżeli odmówię?

— Nie odmówisz ojcze, — w przeciwnym razie zabiję się!

ROZDZIAŁ IX.

CZYTAJ! JA TAK CHCĘ!

Trzy dni dla powrócenia czci Karolinie, trzy dni na wypełnienie obowiązku, inaczej on się zabije! Te myśli przez cały dzień prześladowały doktora Marignan, wieczorem otrzymał list od syna z temi słowy:

„Trzy dni, które ci dałem, ojcze, do wypełnienia twego obowiązku, spędzę u Jana Bertelin na wsi, obok Karoliny Lamarche i jej dzieci. Tam czekać będę na wiadomość od

ciebie, tam w razie twego milczenia wykonam wyrok na sobie."

Czytając ten list, nieszczęśliwy ojciec powtarzał z rozpaczą:

— Tak... on się zabije... a ja będę jego mordercą!

Gustaw na wsi przygotowany prawie na śmierć, niczem nie dał poznać Klarze, co się dzieje w jego duszy, unikał też rozmowy o przyszłości. Luiza także nie widywała Urbana, czekali cierpliwie lepszej przyszłości i zezwolenia hrabiego Huberta, tymczasem pisywali do siebie, a listy umieszczali w kryjówce starego dębu na połowie drogi rozdzielającej dom Jana od pałacu. Chociaż postanowili nie widywać się, jednakże los zrządził, że rączka Luizy napotkała rękę Urbana w chwili, gdy chcieli zamienić listy w ukryciu, tam on powiedział do niej:

— Luizo nie rozpaczaj... mój ojciec jest taki dobry! Kocham cię i nigdy do nikogo nie będę należeć. A ja tobie przysięgam, że musisz być moją żoną!

Gustaw tymczasem liczył godziny, co mu do życia zostały, dwa dni minęły, a on powiedział sobie:

— Dziś wieczorem wszystko się skończy.

Napisał list ostatni do ojca.

„Ojcze, żegnam cię... nie mam do ciebie żalu, zostawiam cię wyrzutom twego sumienia. Trzy dni ubiegły, nie spełniłeś twego obowiązku, ja dotrzymuję obietnicy i umieram!"

Zapieczętował list, zabrał go z sobą i wyszedł z domu; noc była zimna i chłodna, przeszedł podwórze, spojrzał raz jeszcze w oświetlone okno pokoju Klary i zwrócił się w stronę doliny.

Nagle zadrżał, jakiś głos cichy, słodki, zawołał:

— Gustawie!

To była Klara. Gustaw zaczął iść prędzej, lecz ona dogoniła go, zatrzymała, uchwyciła rękę i pytała:

— Gustawie, co ci jest, ty coś przedemną ukrywasz?

— Ależ nie... cóż znowu...

— Nie kłam.. zbyt cię kocham i czuję, że ty chcesz umrzeć!

Gustaw zadrżał, ona poznała, że odgadła prawdę.

— Dlaczego... dlaczego? Czy jesteś nieszczęśliwy? Oh! błagam cię, powiedz mi, dlaczego cierpisz? Milczysz? Ja wiem przyczynę... kochasz mnie i nie możesz zapomnieć mojej przeszłości!

— Nie, nie... Klaro mylisz się... to nie twoja miłość jest przyczyną, nie z tego powodu muszę umierać!

— Umierać!

— Tak, zabija mnie pewna tajemnica, muszę dla niej dać życie.

— Dobrze... ale i ja umrę razem z tobą. Nie wiem, jaką śmierć wybrałeś, ale ją podzielisz ze mną, ja bez ciebie żyć nie mogę.

— Klaro odejdź... puść mnie.

— Nie, nie... jeżeli użyjesz przeciwko mnie siły i odejdziesz sam, ja też nie wrócę do domu. Ciało moje znajdą jutro w wąwozie Robin.

— Co mówisz nieszczęsne dziecko, pamiętaj, że masz matkę!

— Matka będzie płakać po mnie, bo ona mnie kocha, pomimo moich błędów, ale ją pocieszy Luiza.

— Klaro, jeżeli zginiesz razem ze mną, ja popełnię nową zbrodnię względem twojej matki...

— Nie... nie myśl już o niczem, tylko o śmierci... Chodź!

Gustaw był pokonany silną wolą ukochanej i jego opanował szał śmierci. Uchwycił ją w ramiona i unosił w stronę rzeki, lecz zaledwie postąpił kilka kroków, napotkał przeszkodę i wydał okrzyk podziwu. Stał wobec dwóch ludzi. Jeden z nich był to sędzia śledczy Barilles, — drugi jego ojciec.

— Gdzie biegłeś tak, Gustawie?

— Chciałem umrzeć... wiesz dobrze mój ojcze!

— Jakto... unosząc z sobą to niewinne dziecko?

— Ona mnie kocha na życie i śmierć!

— Chodź... i wy także.

Doktór poszedł naprzód do domu Jana, Barilles szedł za nim nie wiedząc, po co go tu przyprowadził Marignan, lecz przeczuwał jakiś straszny dramat. Klara przestraszona tuliła się do Gustawa, chociaż tak odważną była wobec śmierci.

— Karolina, Bertelin i Luiza siedzieli w salonie. Na odgłos otwieranych drzwi podnieśli głowy; pierwszy wszedł doktór, albo raczej widmo doktora Marignan. Stanął wobec Jana, Gustaw bez sił upadł na krzesło.

— Panie Bertelin, przychodzę tu wypełnić mój obowiązek, dlatego prosiłem pana Barilles, aby mi towarzyszył... Idzie tu o sprawę Pijaczki.

Karolina zerwała się i zbliżyła do mówiącego.

— Panie... czego chcesz... czemu przychodzisz zakłócać mój spokój?

— Jesteś pani niewinną... ułaskawienie nie zwróciło czci twojej... przychodzę, żeby cię zrehabilitować.

— Niewinną! Niestety przez dwanaście lat nikt mi nie wierzył... trzeba dowodów.

— Przynoszę je pani.

— Ty panie? Ty, który bardziej niż inni potępiałeś mnie kiedyś... ty, coś wyrok wydał!

— Ja...

— Więc przebaczam ci wszystko złe...

— Zanim przebaczysz, wysłuchaj mnie... może jeszcze cofniesz swoje przebaczenie. Gustawie, ty mi najpierw wybacz, że przyszedłem dopiero w ostatniej chwili. Dałeś mi trzy dni czasu, ale moja spowiedź była tak długa... patrz spisałem ją. Czytaj mój synu.

— Ja?

— Tak ty... tak trzeba.

— Nie będę miał sił ojcze! Miej litość!

— Czytaj. Ja tak chcę!

„Wobec Boga, który mnie będzie sądzić, gdyż wiem, że wkrótce umrę, oznajmiam i wyznaję, że Karolina Lamarche niewinną jest zbrodni, za jaką została skazaną. Dowody jej niewinności zawarte są w spisanych kartach mego wyznania."

Karolina z zapartym oddechem słuchała słów, co miały nareszcie ogłosić jej niewinność, ale Gustaw nie chciał czytać dalej i błagał ojca.

— Nie... czytaj to moja pokuta!

„Wobec Boga wyznaję, że od lat dwunastu wiedziałem o niewinności tej biednej kobiety."

Karolina jak szalona rzuciła się na doktora.

— Nędzniku! Nędzniku!

Marignan padł na kolana.

— Wybacz mi — prosił.

Pan Barilles zwrócił się do niego słowy:

— Kto zawinił? Wymień go pan!

— Nikt... nie ma winnego, bo żadnej zbrodni nie było. Śmierć dziecka Karoliny była naturalną. Niesprawiedliwie rzucono na nią posądzenie o pijaństwo, niesłusznie przezwano ją Pijaczką: Mały Henryk umarł otruty, to prawda, lecz zginął od gazów zatrutych, pochodzących z fabryki wypalania gipsu. Czad przedostawał się przez szczeliny ściany do pokoju Karoliny... dziecko było zaczadzone... a ja sądziłem, że zaszła zbrodnia.

Karolina słysząc to, mówiła sama do siebie:

— Tak, tak, to prawda, ja dlatego byłam chora, i to zawsze wtedy, kiedy Langeraum rozpalił ogniska... a było mi lepiej, jak je zagasił. Teraz zrozumiałam. Oh! Nędznik! Więc pan wiedziałeś o tem? Od dawna?

— Od dawna... w kilka dni po ogłoszeniu wyroku.

— Miałeś odwagę milczeć! Milczeć, chociaż czekała mnie gilotyna! Ah! moje drogie, ukochane dzieci, czy słyszycie, ja nic złego nie zrobiłam temu człowiekowi, nie znałam go nawet... Ależ to zbrodnia potworna!

Marignan podał papiery sędziemu, mówiąc:

— Panie sędzio, wiesz już teraz, dlaczego pragnąłem twojej obecności przy mojem zeznaniu, tu masz spisane wszelkie możliwe dowody, a ty pani przebacz mi.

— Precz, jak śmiesz wymagać tego... zresztą gdyby tu szło tylko o mnie, może darowałabym ci twoje winy, ale tu idzie o moje córki... o te dwanaście lat naszych cierpień.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

7) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

— Tak! Ale ona nie wie nic o naszych planach.

— Dobrze. Co pan uczynisz z tym starym węgierskim służącym?

— Nie wiem, ale będę sobie umiał poradzić.

Hrabia Barin uśmiechnął się dziwnie i po chwili już go w pałacu nie było.

W budaurze księżnej inna się równocześnie odgrywała scena.

Na złoconym fotelu siedziała Felicya — przed nią stał Frascati.

— Dziękuję pani, mówił Karol cicho, że przyszłasz tutaj!

— Co pan o mnie pomyśli, odrzekła młoda kobieta rumieniąc się, że ja, żona innego, zgodziłam się na tę schadzkę? Uważasz mnie za lekkomyślną....

— Nigdy! I abyś pani zupełnie była spokojną, powiem zaraz otwarcie i szczerze: ja pani nie kocham!

— Felicya podała mu rękę.

— Ah, jakże jestem szczęśliwą, że się na panu nie omyliłam! Mów pan teraz śmiało, o co chodzi!

— Jeżeli pani masz do mnie zaufanie, to proszę o jeszcze jedną łaskę! Zgodź się pani na krótką rozmowę w mojem prywatnem mieszkaniu! Jest to konieczne! dla pani!

— Dla mnie?

— Tak! Stawię tam pani pytanie, a od odpowiedzi zależeć będzie całe twoje szczęście!

— Czemu pan tutaj o to mnie nie pytasz?

— Ah, to taka ważna rzecz! Przedewszystkiem jednak chciałbym panią usunąć z pod wpływu pewnej osoby....

— Nie rozumiem tego!

Felicya drżała ze strachu, że Frascati poznał ją i że widzi w niej złodziejkę brylantów cesarzowej.

— Miej pani zaufanie do mnie, prosił Karol, przysięgam ci, że nie pożałujesz tego. Uszczęśliwisz nietylko siebie, ale i pewnego starca, jęczącego w więzieniu....

Wspomnienie ojca zwyciężyło wszelkie namysły Felicyi.

— Dobrze, zawołała, idę z panem!

— Dzięki Bogu! Podaj mi pan ramię — wyjdziemy bocznemi drzwiami — mój powóz czeka.

Felicya wstała i wyszła z Karolem. Doznawała w tej chwili takiego uczucia, jak gdyby była po długiem, daremnem szukaniu znalazła prawdziwego przyjaciela i opiekuna!

* * *

W sypialni barona Frascati siedział Szczepan, jego stary, wierny sługa. Był to niegdyś waleczny żołnierz, a po wystąpieniu z wojska przyjął miejsce u starego barona Frascati i po śmierci tegoż służył wiernie synowi jego. Kochał on Karola z całego serca i byłby w razie potrzeby oddał życie za niego.

Karol kazał mu dziś nie wychodzić ani na krok z sypialni i pilnować szkatułki — Szczepan więc usiadł sobie wygodnie przy oknie i — zaklął straszliwie!

Bo posiadał on jednę namiętność, to jest — lubił nadewszystko palić fajkę!

Kuzyn jego przysyłał mu stale z Budapesztu węgierską tabakę — w Petersburgu nie mógł jej nigdzie znaleść i wczoraj właśnie ukradł mu ktoś całe pudło wraz z fajką i tabaką. Złodziejem był bez wątpienia jakiś żebrak, któremu dał talerz zupy, a który mu za to wziął najulubieńszą i jedyną rozrywkę. O, gdyby go teraz Szczepan miał pod ręką! Ale siedzieć całą noc, i nie palić — któż to wytrzyma?

— Przeklęty żebrak, — mruczał Szczepan, — dałbym nie wiem co za moją tabakę!

Nagle zerwał się z krzesła i otworzył okno. Zdawało mu się, że ktoś puka do drzwi.

Czy baron wraca? Wpół do pierwszej!

I już chciał biegnąć na dół, ale w samą porę przypomniała mu się szkatułka! Nie, z pokoju wyjść mu nie wolno, pod żadnym na świecie warunkiem!

Pukanie powtórzyło się mocniej, raz, drugi i trzeci.

Szczepan wychylił się teraz oknem i o mało nie krzyknął z radości!

Przed domem stał żebrak, a w rękach jego — znajdowało się pudło z tabaką!

— Wielmożny panie, — zawołał teraz żebrak, — sumienie nie dało mi usnąć spokojnie! Myślałem, że w pudle są pieniądze i dlatego wziąłem je. Ale tabaka nie jest mi potrzebną!

— Hoho, to ty widać nie palisz! — krzyknął Szczepan!

— Nie! Dacie mi chociaż parę groszy na wódkę? Za to, że wam odnoszę tabakę?

— Zabawny złodziej! — Spuszczę ci sznur, przywiąż do niego pudło, a skoro będę miał własność moją w ręku, rzucę ci parę groszy.

Kilka minut później miał Szczepan swój skarb, a żebrak, obdarzony srebrną monetą, oddalał się od willi barona Frascati. Szczepan natychmiast nałożył fajkę i zamknąwszy okno, zaczął palić.

Ach, jaka to rozkosz!

Wkrótce był cały pokój napełniony dymem, a Szczepan uczuł nagle gwałtowny ból głowy.

Jak mu w uszach szumieć zaczęło! Co to miało znaczyć? Teraz nie mógł już rozpoznać przedmiotów w pokoju, oczy jego zamykały się — czyżby tabaka była temu winną?

— Ratunku! jęknął. — Ratunku! Duszę się! Duszę...

Szczepan spadł z krzesła i leżał nieruchomy na ziemi, a z fajki unosiły się ciągle jeszcze gęste i czarne kłęby dymu.

Nieszczęśliwy nie czuł już nic. Przez kilka minut panowała w pokoju głęboka cisza, potem zbliżył się ktoś ostrożnie i otworzył cicho drzwi. Wysoka postać męzka stanęła na progu.

Gdyby Szczepan był teraz przytomnym, to poznałby z łatwością w nowoprzybyłym owego żebraka, ale bohater z pod Magenty nie mógł nawet palcem ruszyć.

— Opium w tabace skutkowało dobrze, — szepnął Barin z uśmiechem zadowolenia. — Trzeba mi go zanieść na łóżko — wierny sługa musi wyglądać tak, jak gdyby był pijany, inaczej Frascati mógłby mieć podejrzenie.....

Schylił się i z podziwienia godną siłą podniósł nieprzytomnego, jak dziecko. Położywszy go w przyległym pokoju na kanapie, wyjął z kieszeni butelkę z wódką, otworzył mu usta i wlał kilka kropli ostro wonnego płynu. Butelkę postawił przy kanapie, na ziemi.

W następnej chwili wrócił do sypialni Karola i zabrał się natychmiast do otworzenia szkatułki.

Zamek widać był mocny, bo Barin próbował jednego wytrycha po drugim, i dopiero po upływie mniej więcej kwandransa, podniósł się z dokumentem w ręku. Z czoła jego spływały grube krople potu.

— Mam, czego szukałem, — szepnął radośnie. — Zarobiłem dwadzieścia tysięcy rubli! Za trzy godziny wrócę tu znowu!

Otuliwszy się w płaszcz, wybiegł szybko na schody, i już zamierzał otwierać drzwi domu, gdy nagle usłyszał turkot zajeżdżającego powozu. Przez kilka sekund stał, nie wiedząc, czy się ukryć, czy uciekać.

Teraz otworzono drzwi, i dwie osoby weszły do sieni.

— Bądź zupełnie spokojną, hrabino, i ufaj mi, — mówił Karol Frascati. — Nie zapominaj, że jesteś pod dachem człowieka uczciwego, który ceni honor kobiety nad wszystko w świecie.

— Wierzę panu, — odrzekła Felicya.

Barin zadrżał. Poznał głos żony.

— Felicya tu, w domu barona! — pomyślał przerażony i zdumiony. — Co to ma znaczyć?

Jak kot wsunął się Barin napowrót do sypialni barona i wskoczył za wysoki japoński ekran stojący przed kominkiem. Nie było to wygodne ukrycie, ale tam nikt w każdym

razie nie byłby złodzieja szukał. Ledwie drżącemi rękami ekran na miejsce przysunął, wszedł do pokoju Karol Frascati. Za nim Felicya.

— Prowadzę panią tu, — zaczął Karol — bo naprzeciw tego okna nikt nie mieszka, nikt więc śledzić nas nie może! Felicya milczała. Czekała ona z gwałtownem biciem serca chwili, w której Frascati wymówi jej prawdziwe nazwisko, a oczekiwanie to było dla niej wprost zabijającem.

— Pani drżysz, — mówił Karól dalej, — mój stary Szczepan usnął widocznie, ale ja także potrafię przygotować herbatę.

— Nie, nie, — szepnęła Felicya, — ja nic nie chcę, powiedz mi pan tylko powód, dla którego musiałam tu przyjść.

— A więc pozwól mi najpierw wymówić twoje nazwisko, pani hrabino, które niegdyś nosiłaś w szczęściu i dumie! Nie po raz pierwszy widzę cię w Petersburgu, Felicyo Szalenburg!

Młoda kobieta jękła i zakryła twarz rękami.

— Ależ ja pani nie chcę obrażać, — zawołał Karol. — Jeżeli nazwisko twoje jest teraz shańbione, to nie twoja w tem wina! W mojem przekonaniu jesteś pani bez najmniejszej skazy.

— O, dziękuję panu! Więc pan nie wierzysz, abym była zbrodniarką, wiesz, że jestem niewinną! O gdybyś wiedział, ile ja już łez wylałam, ile wycierpiałam...

— Ale czemu pani nie wyrwiesz się z takiego życia? Czemu zostajesz przy boku człowieka, którego przecież kochać nie możesz? Jestem przekonany, że pani stałaś się ofiarą dziwnej jakiejś potęgi, którą człowiek ten ma nad tobą!

— Nie mów pan w ten sposób o moim mężu! — zawołała Felicya. — Pan nie wiesz, ile on dla mnie poświęcił! Dla mnie uciekł z Wiednia, dla mnie ukrywa się pod fałszywem nazwiskiem! Wyrzekł się stanowiska, godności...

— Czy ja śnię? — szepnął Frascati zdumiony. Nie mógł on pojąć słów Felicyi. Wiedział, że Pedro de Branco jest zbrodniarzem, i teraz nagle słyszy, że to on właśnie dla żony takie ponosi ofiary!

— Albo ja pani nie rozumiem, — dodał po chwili, — albo pani mnie nie rozumie. Czy nie wiesz nic o liście gończym?

Miał on naturalnie na myśli list gończy wysłany za Pedrem, czyli Ramirem.

— Ach, ten nieszczęsny list gończy, — krzyknęła Felicya, załamując ręce. — On jest przyczyną całego naszego nieszczęścia, cn nas zmusza do ukrywania się, do wyparcia naszego uczciwego nazwiska! O, nie wspominaj pan o tym liście, zmiłuj się nademną!

— Będę milczał, jeżeli pani sobie tego życzysz. Ale czy pomimo wszystkiego nie rozwiedziesz się z mężem? Gdybyś się zdobyła na to — to w Wiedniu przyjęto by cię z otwartemi ramionami, a nawet cesarzowa Elżbieta wybaczyłaby ci omyłkę twego małżeństwa.

— Nie rozumiem pana! Jeżeli się kto omylił, to chyba mój mąż! Myślał on, że się żeni z dziewczyną, na której żadna hańba nie ciąży, a tymczasem..... Ale przysięgam panu na wszystko w świecie, że jestem niewinną!

— Wierzę, ale cóż to? Słyszałaś pani jakiś jęk....

— Tak, słyszę! W przyległym pokoju jęczy ktoś....

— Przepraszam panią na chwilę, muszę zobaczyć — czyżby Szczepan zachorował?

Mówiąc to, pobiegł Karol do salonu, zamykając drzwi za sobą, a równocześnie poruszył się ekran, i ku strasznemu przerażeniu Felicyi stanął przed nią — jej mąż!

— Ramiro — wyszeptała na wpół nieprzytomna, — ty! ty!

— Cicho! ani słowa! Słyszałem wszystko! W domu powiesz mi, dlaczego przyszłaś tu — w nocy!

— O Boże! Przysięgam ci, że nie miałam nic złego na myśli.....

— Milcz! Pójdziesz natychmiast ze mną do domu!

Po upływie kilku minut byli już oboje na ulicy, gdzie powóz na nich czekał.

Barin był ocalony. Sama żona pomogła mu znowu do ucieczki i tak wychodził on zawsze czysto z sprawy, a na nią spadała zawsze wszelka wina!

* * *

Karol tymczasem stał bezradny przed kanapą, na której leżał jęczący Szczepan.

— Szczepanie, wołał, słyszysz mnie? Otwórz oczy, patrz, to ja — rozumiesz, co mówię do ciebie?

Stary sługa leżał i nie ruszał się wcale.

Teraz spostrzegł Karol butelkę z wódką.

— Ach, pijany, rzekł pogardliwie — ale nie — nigdy przecież nie pił, więc zkądże by dziś właśnie! Muszę go obudzić i zapytać, czy tu kto był u niego... Wstań, krzyknął głośno, unosząc i trzęsąc śpiącego, wstań i powiedz, czemu się dziś upiłeś!

Szczepan otworzył oczy i spojrzał jak nieprzytomny na swego pana.

— Obudź się, stary pijaku! Czy słyszysz, co mówię?

— Tak — tak — jąkał Szczepan, ja pana barona znam, ale tabaka moja znalazła się.

— Co mi do twej tabaki! Czemu się upiłeś?

Teraz oburzył się stary i oprzytomniał.

— Kto się upił, ja? zawołał. Ach, jak ciężką krzywdę wyrządza mi wielmożny pan tem podejrzeniem! Ani jednej kropli nie miałem w ustach!

— A co znaczy ta butelka?

Szczepan podniósł ją i obejrzał dokładnie.

— Przysięgam na zbawienie mej duszy, rzekł uroczyście, że ja tej flaszki nigdy nie widziałem. Ale dodał drżącym głosem, paliłem fajkę i — usnąłem — —

Karol zbladł.

— Więc usnąłeś paląc fajkę? zawołał. Zkąd miałeś tabakę?

Szczepan opowiedział mu wszystko.

— Jestem zgubiony! krzyknął Karol. Okradziono mnie!

I jak szalony pobiegł do sypialnego pokoju. O Felicyi wcale już teraz nie myślał, zapomniał, że ją tu zostawił — zapomniał o całym świecie, i nie zważając na swoje balowe ubranie, rzucił się na ziemię, aby otworzyć szkatułkę.

I gdy drżącemi rękami otworzył wieko — gdy spojrzał na pustą okładkę, wstał, i dziwnie spokojnym rzekł głosem:

— Karjera moja skończona. Życie także. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć, i to jaknajprędzej.

Szczepan płakał.

— A nie pomyślałeś pan o matce? szepnął.

— Tak, ale postanowienia mego nie zmienię. Idź spać, stary, ja mam jeszcze niejedno do załatwienia!

Szczepan, słaby i mogący się ledwie na nogach utrzymać po owem sztucznem uśpieniu, wyszedł z pokoju.

Wiedział on, że Karol ma niezłomną wolę i że nie można mu stawiać oporu, nie próbował go więc wcale namawiać do porzucenia okropnego zamiaru. Miał tylko w głębi serca nadzieję, że stanie się może w ostatniej chwili cud jaki, który odwróci to nieszczęście.

Karol zasiadł do biurka i zabrał się do pisania listów.

Pierwszy był do ministra. Opisał mu całe zajście i dodał, że ponieważ on sam za wszystko był odpowiedzialnym, przeto zdradziwszy, chociaż nieumyślnie, zaufanie ministra, postanowił odebrać sobie życie.

Drugi list pisał do matki, starej baronowej Frascati, posiadającej nad morzem Adryatyckiem wspaniały pałac i wielkie posiadłości. W wzruszających słowach żegnał się z nią i prosił o przebaczenie....

Obydwa listy położył na biurku, potem — wyjął rewolwer — —

Nagle padł wzrok jego na fotografią ślicznej, młodej dziewczyny, w skromnem ubraniu robotnicy fabrycznej, i czoło jego zachmurzyło się.

— O Soniu moja, szepnął, odkładając rewolwer, wybacz mi! W ostatniej godzinie mego życia zapomniałem o tobie! Nie zapewniłem ci przyszłości, ale czekaj, błąd mój zaraz naprawię....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKUSA.

„Sprzedaj mi chłopku swą ojcowiznę;
„Za twe zagony, za łąki żyzne,
„Dam ci dukatów złocistych krocie!"

„A co mi, Niemcze, po twojem złocie?!
Ja złota dosyć mam w swojej ziemi:
Najpierw niebiosa blaski złotemi
Stroją się wiosną na zachód słońca,
Potem znów łotoć, złotem błyszcząca,
Kwitnie na łąkach, a jeszcze potem
Zboże nam pola okrywa złotem
Najdroższem z wszystkich, bo chleb nam
[daje...
W końcu, gdy cicha jesień nastaje,
To w jasnem złocie las staje cały!
A kiedy tuman srebrzyście biały,
Na każdym listku, gdy zejdzie słońce,
Pocznie brylanty wieszać błyszczące —
Dopieroż skarby masz przed oczami!
Takich nie znajdziesz między królami!..."

„Ale za złoto, wzięte odemnie,
„Możesz bogato żyć i przyjemnie;
„Jakie zapragniesz możesz mieć dziwy —
„Kto ma pieniądze, ten jest szczęśliwy!"

„A gdzież jest większe szczęście na
[świecie,
Jak to, co dla mnie tutaj się plecie?!
Przecie ja tutaj mam wszystko moje!
Szczęściem są dla mnie trudy i znoje,
Jeśli je wkładam w ziemię ojczystą!
Szczęśliwy jestem, gdy w noc gwiaździstą
Słyszę zdaleka żab rechotanie —
Kiedy przepiórka, na pszennym łanie
„Pójdźcie żąć!" — woła — pola i łany,
To kraj rodzony, mój kraj kochany —
Piękniejsze odeń może znajdziecie,
Ale droższego, niemam na świecie!
I gdzież ty skarby znajdziesz takowe,
Byś mi zapłacił tę polską mowę,
Co mi w około, jak pieśń rozbrzmiewa?
Czem mi zapłacisz za nasze drzewa,
Łąki i pola — miesiąc srebrzysty,
Co nocą wstaje z topieli mglistej?!...
I nic mi szczęścia dać nie jest w stanie,
Jeśli porzucę swe ukochanie!"

„Jeśli odrzucasz dary bogate,
„Jać ofiaruję inną zapłatę:
„W tobie geniuszu iskierka drzemie,
„Ja ją rozbudzę! Na całą ziemię,
„W zamkach złocistych, w chat wiejskich
[dymie
„Wielkiem i sławnem będzie twe imię!"

„Dla mnie twa sława, to puch jest
[marny,
Bo moją sławą, ten zagon czarny,
Na którym jeszcze, z sochą rogatą,
Pradziady moje szli w każde lato!
Sławą jest moją pole, dąbrowa,
Gdzie brzmiała ojców surma bojowa!
Potężni męże, szlachetne prawa,
Niewiasty święte — to moja sława!
Sławą jest dla mnie, żem syn tej ziemi,
Która czynami świeci wielkiemi,
Co nie szła nigdy podłością, zbrodnią,
Za swoją jasną gwiazdą przewodnią!
Choćbyś mię kusił skarby wszelkiemi,
Niedam ci, Niemcze, i piędzi ziemi!
Każda jej garstka jest dla mnie święta
I bohaterów krwią przesiąknięta!
A gdy Bóg kiedyś, jak śmierć mię
[zmiecie,
Spyta: jak żyłem tutaj na świecie?
Stanę pod orła białego znakiem
I z dumą rzeknę: Byłem Polakiem!"

Walerya Szalay.

Dublany (Galicya) 23. IV. 1902.

Ku uczczeniu Maryi Konopnickiej.

ODEZWA.

Staraniem „Czytelni dla kobiet" zawiązany Komitet zaprasza niniejszem, do wzięcia jak najliczniejszego udziału w podjętej przez całe polskie społeczeństwo okazyi, ku uczczeniu

Maryi Konopnickiej.

W uznaniu 25-cio letniej pracy wielkiej poetki, skierowanej ku powszechnemu dobru naszego społeczeństwa, przyłączamy się do innych komitetów, rozpoczynając działalność naszą na Ks. Poznańskie.

Niżej podpisany komitet zajmować się będzie:

1. Zbieraniem podpisów i adresów.
2. Zbieraniem składek na popularne wydawnictwo pism Maryi Konopnickiej i zakupienie daru od wszystkich dzielnic Polski.
3. Urządzanie uroczystych obchodów na cześć Jubilatki.

Wszystkie sfery polskiego społeczeństwa prosimy o poparcie naszych usiłowań i nadsyłanie składek do „Redakcyi Pracy."

Komitet ścisły: Józefa Chrzanowska, Teresa Gantkowska, Dr. Gantkowski, Zofia Jerzykiewicz, Władysław Jerzykiewicz, Dr. Karwowski, Marya Łazarewiczowa, Prof. Dr. Łazarewicz, Helena Łebińska, Dr. Władysław Łebiński, Halina Leitgeber, radzca Dr. Mizerski, Stanisława Niegolewska, Dr. Felicyan Niegolewski, Jadwiga Niedzielewska, Janina Omańkowska, Klara Paczkowska, Zofia Starkowa, Drowa Smolińska, Zofia Tułodziecka, Aniela Tułodziecka, mec. Adam Woliński.

Dalszych podpisów dla braku miejsca nie zamieszczamy. — Przyp. Redakcyi.

Otrzymaliśmy z prośbą o umieszczenie następującą:

„ODEZWĘ

dla członków wspólnej kasy chorych nr. 4
(rzeźników, piekarzy, cukierników, fabrykantów cygar, nakładców piwa itd.)

W dniach 5, 6 i 7 maja odbędą się wybory reprezentantów kasy chorych nr. 4. Chlebodawcy wybierają 16 reprezentantów i tyluż zastępców, pracobiorcy 32 reprezentantów i tyluż zastępców. Zarząd kasy znowu każe głosować w ośmiu policyjnych okręgach i tak głosować będą:

Okręg	I.	5 maja	przy ul. Koziej 8 I.
„	II.	5 „	„
Wilda	III.	6 „	„ Następcy tronu 90
	IV.	6 „	„ ul. Koziej 8 I
	V.	7 „	„ „
	VI.	8 „	„ „
Jeżyce	VII.	6 maja	przy W. Berlińskiej 65
Łazarz	VIII.	6 maja	przy ul. Parkowej 2.

W każdym okręgu wybierają:
chlebodawcy od godz. $5\frac{1}{2}$—6 dwóch reprezentantów
od godz. 6—$6\frac{1}{2}$ dwóch zastępców
pracobiorcy od godz. 7—$7\frac{1}{2}$ czterech reprezentantów
od godz. $7\frac{1}{2}$—8 czterech zast.
(nad 21 lat, kobiety także).

Głosuje się zatem wszędzie 2 razy!

Panów chlebodawców wzywamy, aby *natychmiast* zażądali dla siebie i personalu swego (nad 21 lat) kart legitymacyjnych uprawniających do głosowania; karty te wydają biura przy ul. Koziej 8, W. Berlińskiej 65, Parkowej 2, Następcy tronu 90 do soboty tylko!

Kartki wyborcze roześlemy w dom.
Obywatele dopilnujcie sprawy!

Komitet wyborczy dla m. Poznania
Dr. Kożuszkiewicz, prezes. *Karol Rzepecki*, skarbnik.
Stefan Chociszewski, sekretarz."

(Na powyższe wybory powinni się wszyscy pracodawcy i pracobiorcy stawić jak jeden mąż i głosować na kandydatów przeznaczonych przez Komitet wyborczy m. Poznania. — Przyp. Red.)

dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego dwudziestofenygowego.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Wiadomości.

— **Z teatru.** Istnie prawdziwą perełką dramatyczną zakończyła dyrekcya sezon, mianowicie pogrzebała go „Pogrzebem“ Kazimierza Laskowskiego, za co panu Rygerowi wdzięczni jesteśmy.

W pięknym tym tryptyku, napisanym prześlicznym wierszem, przebija się rzeczywista znajomość ludu i jego języka. Autor nie napisał obszernego dramatu, lecz rzecz całą ujął realistycznie tak, jak ją ująć należało.

Artyści wywiązali się z zadania swego dobrze, nawet sceny zbiorowe w ciągu całego aktu drugiego wypadły z małemi usterkami zadowalająco. Wystawa była znakomita.

— **Od ks. dr. Schaue te'go** z Magdeburga odbieramy następujące pismo:

„*Magdeburg,* 12 kwietnia.

Na mocy § 11 prawa prasowego upraszam Szanowną Redakcyą o następujące sprostowanie.

W numerze 13 „Pracy“ z dnia 30 marca br. zamieszczoną była tu ztąd korespondencya, w której autor tejże w bardzo niemiły sposób osobą moją się zajmował, dlatego czuję się spowodowanym odpowiedzieć co następuje:

1) Nieprawdą jest, jakobym powiedział, że Polacy zamieszkali w państwie niemieckiem, są zobowiązani spowiadać się po *niemiecku.*

2) Nieprawdą jest, jakobym wzbranianie się Polaków, władających językiem niemieckim, spowiadania się po niemiecku, nazwał *„upartością“* i *„niegodziwością.“*

3) Nieprawdą jest, jakobym powiedział, że każdy członek Towarzystwa ma za przykładem Tobiasza zostać misyonarzem i zbłądzonych nauczać, jak się *po niemiecku spowiadać* mają.

Prawdziwy stan rzeczy jest następujący: Kiedym wskutek zaproszenia przewodniczącego p. Garsteckiego na posiedzenie Towarzystwa poszedł, przemówiłem na takowem krótko do obecnych. W przemówieniu następujące dwa punkta poruszyłem;

1) Tak jak Tobiasz w niewoli ziomków swych po wszystkich miejscowościach odwiedzał i tychże upominał, aby Bogu swych Ojców wiernymi pozostali, tak też każdy członek Towarzystwa powinien być niejako misyonarzem i swych rodaków zazachęcać, żeby swej wierze i Kościołowi katolickinmu wiernymi byli, a nie do socyalistów przystawali, co tu często się zdarza.

2) Potem prosiłem, żeby Polacy, niemieckim władający językiem, przychodzili do niemieckich księży do spowiedzi, gdyż w innym razie będzie ksiądz wojskowy Krzesiński miał za wiele ciężaru, a księża niemieccy chętnie Polakom pomocnymi być pragną. Polacy nie powinni się dlatego od spowiedzi usuwać, że nie zawsze mają sposobność spowiadania się po polsku. Ksiądz Krzesiński jest jednakowoż gotów tych Polaków, którzy językiem niemieckim dostateeznie nie władają, spowiedzi słuchać w języku polskim.

Nadmienić jeszcze wypada, że w wieczór, który był przeznaczony na słuchanie spowiedzi Polaków, stawił się jeden jedyny Polak, mianowicie prezes Towarzystwa pan Garstecki.

Tyle dla wyjaśnienia prawdy.

Dr. Schauerte, proboszcz.“

— **Rodacy** nasi pp. Stanisław Domagalski (mechanik) z Poznania, Bolesław Strachanowski (mechanik) z Lubiatówki i E. Krodkiewski (hutnik) z Sosnówca złożyli w Köthen-Anhalt egzamin na inżynierów. „Szczęść Boże“ w dalszej pracy!

— **Pocztówki** piękne — narodowe i okolicznościowe — w barwnych kolorach ze stósownemi wierszami ma na składzie we wielkim wyborze firma „Atlas“ (właściciel p. W. Kostrzewski) przy Starym Rynku nr. 48, przeciw któremu toczył się świeżo proces przed izbą karną tutejszego sądu ziemiańskiego na mocy § 130 kodeksu karnego (podburzanie do gwałtów) o to, że miał na składzie i sprzedawał między innemi pocztówki, na których zamieszczony był piękny patrotyczny wiersz Stanisława Bełzy p. t. „Modlitwa do polskiego dziewczęcia“, kończący się zwrotką „Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić Panie!“ Pana K. sąd uwolnił od winy i kary i zarządził zniesienie konfiskaty czasu swego zabranych pocztówek przez policyą w handlu p. K. Pan K. więc będzie mógł nadal pocztówki takie sprzedawać, na co zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

W dzisiejszych czasach ogólnego tępienia i niszczenia naszych ideałów narodowych przez „naszych najserdeczniejszych“ powinniśmy się zaopatrywać tylko w pocztówki narodowe, polskie, które ma na składzie w najpiękniejszych kolekcyach po cenach najtańszych p. W. Kostrzewski we firmie „Atlas“ przy Starym Rynku nr. 48 w Poznaniu.

— **Dawniejszy posiedziciel** Eldorado, znany i poważany nasz współobywatel p. Władysław Fischbach, otworzył z dniem 1-go z. m. uroczy Park Wiktoryi do łaskawego użytku Szanownej Publiczności i Towarzystw. Życzymy p. Fischbachowi jak najlepszego powodzenia i zasyłamy mu staropolskie: „Szczęść Boże!“

— **Jubileuszówkę,** znakomity likier deserowy i wszelkie inne wódki zdrowotne poleca tylko w pierwszorzędnym towarze zaszczytnie znana destylacya i fabryka likierów p. A. Szmytkowskiego w Pniewach (Pinne, Pr. Posen.) Fabrykaty p. S. odznaczono już niejednokrotnie medalami i listami pochwalnemi na wystawach krajowych i zagranicznych. Lubownikom zdrowotnych likierów, nalewek, wódek i t. d. polecamy gorąco fabrykaty naszego ruchliwego, pracowitego i sumiennego rodaka.

— **Na inserat** p. Bernarda Gosienieckiego i syna z Gniezna, właścicieli Zakładu artystyczno-dekoracyjnego zwracamy uwagę Szanownej Publiczności, mianowicie Wielebnemu Duchowieństwu i Szanownym Dozorom kościołów. Dekorowanie lub też odnawianie kościołów, kaplic, ołtarzy i t. d. wykonuje się sumiennie. Styl zakopiański. Szkice i kosztorysy wysyła się bezpłatnie i franko.

— **Górczyn** pod Poznaniem. Z przedstawienia amatorskiego, urządzonego staraniem Towarzystwa Przemysłowego „Kościuszko“ na dochód kościoła katolickiego na św. Łazarzu, wpłynęło po odciągnięciu wszelkich kosztów 105 mrk. 30 fen., którą to sumę doręczono księdzu Proboszczowi.

— **Srem.** Dnia 1-go maja opuścił nas czcigodny, a nigdy nie odżałowany ksiądz Miśkiewicz. Był to kapłan wzorowy, pobożny, umiejący prowadzić dusze do dobrego, miłosierny i przystępny dla każdego. To też żal i strata niepowetowana dla całej parafii, bo straciliśmy prawdziwego ojca i opiekuna. Pamięć po tak wzorowym kapłanie pozostanie na długo w śremskiej parafii.

Jeden w imieniu wszystkich.

— **Nowy Browar Grodziski.** W tych dniach załatwił p. Maxymilian Koschmieder z Wielkiejwsi pod Bukiem formalności sądowe z panną Czerniejewicz na sądzie w Grodzisku. Zakupiliśmy kilkaset cetnarów pszenicy, a ustanowiony i na miejsce sprowadzony piwowar, specyalista na grodziskie, już robi słód, nie długo piwo warzyć będzie. Ceny piwa nie będziemy podwyższali, choć najlepszą pszenicę i chmiel zakupiliśmy, bo też wielkich zysków osięgnąć nie chcemy, i cieszyć się będziemy z tego, że piwo z własnego browaru konsumować możemy. Współpracownictwo przy Nowym Browarze w Grodzisku objął łaskawie p. Adam Dybysławski, kapitalista z Grodziska i pod jego adresem zamówiewia na pierwsze piwo nadesłać prosimy. Kapitał zakładowy, na 65000 M. ustanowiony, jeszcze nie zupełnie pokryty. Udziały po 50 m. a osoba jedna może mieć najwięcej 100 udziałów.

Szanownych zwolenników Nowego Browaru w Grodzisku uprasza się, aby zechcieli sumy na ten cel poświęcone przesłać pod adresem: *„Bank Parcelacyjny in Posen, Victoriastr. 12 und St. Martinstr. Ecke“* z dopiskiem na kuponie „na udział Nowego Browaru w Grodzisku“.

Przez zakupienie owego browaru mamy nadzieję, że grosz ku temu celowi wpłacony nie tylko utrzyma nam jedyny browar grodziski, lecz także, że odrzucać będzie dywidendę. Najlepszym dowodem jest ta okoliczność, iż najęci agenci się zbliżają i odkupić browar chcą od nas.

Wszystkie te osoby, które w tych dniach swe udziały nadeślą, zaprosimy jeszcze na jedno posiedzenie do Poznania, żeby się za-

stanowić i nad tą okolicznością, czyby nie było praktycznie, sprzedawać piwo *dobre*, lecz tylko za *gotówkę*, bo to jest doniosłej wagi, choć to może niejednemu dziwnem się zdaje.

Swoją drogą spodziewamy się, że nasi zwolennicy, przekonawszy się osobiście, że piwo będzie dobre, od dnia, w którym pierwsze nasze piwo na beczki stawimy i ogłosimy, wszędzie i na każdem miejscu domagać się będą piwa grodziskiego z *naszego* browaru pochodzącego.

Wszystkie pisma, sprawie tej przychylne, prosimy o powtórzenie tych słów ku szerszej wiadomości.

— **Gniezno.** Magazyn strojów i handel krótkich towarów, istniejący od 15 lat w naszym grodzie pod firmą H. W. Mąke, przeszedł na własność pań Jadwigi Kmiecikowskiej i Felicyi Orańskiej, które to przedsiębiorstwo prowadzić będą pod dawną firmą. Panna Kmiecikowska pracuje w tym składzie już od lat kilku. Oprócz damskich strojów, a specyalnie kapeluszy, są także do nabycia wszelkie przybory do szycia i drobne towary, np. igły, śpilki, nici, tasiemki i td. Magazyn powyższy cieszy się od dawna zaufaniem w wyższych i średnich kołach bez różnicy narodowości. Ceny będą, jeżeli nie tańsze, to w każdym razie nie droższe jak w handlach konkurencyjnych. Polecamy usilnie czytelniczkom „Pracy“ ten zakład handlowy, który zasługuje na poparcie. Jeżeli wogóle każda praca powinna doznawać uwzględnienia, to przedewszystkiem pracę kobiet na polu handlowo-przemysłowem należy otoczyć życzliwą opieką. Sądzimy, że publiczność gnieźnieńska i z okolicy nie odmówi poparcia temu przedsiębiorstwu.

— **„Krynica“.** Pod tym tytułem zacznie wychodzić od 1. maja b. r. tygodnik belletrystyczno-balnelogiczny poświęcony sprawom Zakładu zdrojowego w Krynicy. „Krynica“ umieszczać będzie listę gości. Do współpracownictwa zaproszone zostały najznakomitsze siły literackie i wybitne powagi naukowe ze świata lekarskiego.

Pismo to przyczyni się niezawodnie do rozwoju Krynicy, tego pierwszego zdrojowiska w naszym kraju.

— **Znin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Zninie złożyli w dalszym ciągu: pp. J. Zalewski z Salna p. Koronowem 3 m., za pośrednictwem J. Piotrowskiego z Łagiewnik 26,50 m., za pośrednictwem Feliksa Damsa z Sniecisk 4 m., P. Kopczyńska z Bożejewic 1,50 m, F. Wolanowski z Brzystorzystewki 3 m., J. Wiśniewski z Gniezna 3 m., L. Sporna z Szubina 5 m., J. Grzeziński z Szubina 2 m., N. N. 50 f., H. Feige z Czempinia 1 m., J. Wachowiak z Białej p. Wronki 3 m., J. Sieradzki i W. Pauliński po 1 m., za pośrednictwem F. Sobeckiego z Padniewka 15,20 m., W. Kołodziejski z Batkowa 5 m., J. Mazurkiewicz z Julianowa 3 m., M. Kapłon z Jaroszewa 1 m., S. Sierakowska z Torunia 2 m., A. Wieczorek z Wilczkowa 3 m., J. M. z G. 10 m., A. Kozłowski z Słembowa 5 m., T. Budziak z Podgórzyna 3 m., A. Szkudlarczyk z Jeżyc 3,50 m., za pośrednictwem F. Marchewki z Strzelewa p. Nakło 25 m., A. K. z W. S. 20 m., Gralik z Parchania 10 m., A. Ziemkiewicz z Zakrzewa Pr. Wsch. 3 m., S. B. z Ostrowa 15 m., M. Płocki z Znina 3 m., z Wielichowa: M. Kaletka 5 m., P. Fórmanowicz 2 m., P. Mikołajczak 1,50 m., F. Burmistrzak 1,50 m., F. Sledz 1 m., za pośrednictwem H. Jasińskiej z pod Nakła 13 m., J. Ciesielczyk z Mochelka 3 m., J. Jeleniewski z Subków Pr. Zach. 1,50 m., F. Różkowski z Bydgoszczy 3 m., za pośrednictwem T. Lachmanowej z Pławnika 10,50 m., Sz. Kwiatkowski z parafii Parlińskiej 3 m., A. Dąbek z Wąsosza 3 m., L Jedynecka z Pniew 10 m., M. Szablikowski z Poznania 5 m., L. Brzozowska z Barcina 3 m., W. Minge z Bydgoszczy 2 m., za pośrednictwem A Jankiego z Miniszewa 7 m., J. Smyk z Dochanowa 3 m., F. Derech z Żnina 3 m., S. Białkowska z Budzynia 1 m., A K. z Nakła 2 m., W. Jędryczka z Chełmna 10 m., za pośrednictwem J. Wieczorowskiego z Zabiczyna 5,75 m., A. Adametz z Inowrocławia 2 m., pewna osoba 10 m., za pośrednictwem S. Stawińskiego z Brodnicy Pr. Zach. 4,15 m., F. Mysłowiecki z Tupadeł 50 f., J. Skweres i F. Wróbel z Karmina po 1 m., M. Cegielski z Witkowa 3 m., B. Hozakowski z Torunia 5 m., F. Janicki z Znina 3 m., H. Kubacki z Wrocławia 5 m.

Wszystkim ofiarodawcom staropolskie „Bóg zapłać!“ W dwójnasób daje, kto zaraz daje! O dalsze składki uprasza

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Ps. Adres bez dodatków: „Władysław Jasiński — Żnin“, gdyż poczta robi trudności.

Zmarli.

— **Gostyń.** Dnia 25-go z. m. umarł w mieście naszem po długich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, ś. p. ks. Marceli Gantkowski, dziekan emerytowany, przeżywszy lat 77. R. i. p.

— **Pelplin.** Dnia 20 z. m. zmarł w mieście naszem lekarz kollegiacki ś. p. dr. Stanisław Paczkowski, znany i wielce szanowany obywatel. Był to człowiek nietylko dzielny na swem stanowisku jako lekarz, ale czynny patryota, gotowy zawsze do pracy około swego narodu. Prócz praktyki lekarskiej zajmował się i ruchem towarzyskim, a znany jest także z pióra. Podczas zjazdu pelplińskiego w r. 1894, który złączył towarzystwa przemysłowe, przemysłowo-rolnicze i śpiewackie Prus Zachodnich, zredagował śp. dr. Paczkowski „Dziennik Zjazdu“, który następnie jako spory zeszyt ukazał się w druku. — Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci!

Ruch w Towarzystwach.

Otrzymaliśmy z *Wrocławia* z prośbą o umieszczenie następującą:

„*ODEZWĘ:*

Celem wspólnego pracowania nad własnem wykształceniem w języku i w historyi ojczystej i celem podania pomocnej ręki Polkom mieszkającym tutaj, a pozbawionym styczności z polskiemi kołami, w kształceniu się w tymże samym kierunku, zostało w Wrocławiu założone „Stowarzyszenie Polek“ pod wezwaniem Opieki św. Anny.

Jestto sprawa ogół nas Polek obchodząca, bo obok własnej naszej duchowej korzyści, chodzi o podniesienie mniej oświeconych sióstr-rodaczek naszych — o rozbudzenie w nich poczucia, że są Polkami, i że jako takie powinny nauczyć się kochać całem sercem, co ojczyste, co polskie.

Siła nasza leży w jedności! Jeżeli każda Polka, żyjąca w Wrocławiu, poczuje się do obowiązku przystąpienia do „Stowarzyszenia“, natenczas rozwój tegoż będzie zapewnionym a pracy naszej i celom naszym Bóg błogosławić będzie.

Mamy nadzieję, iż Polki tutaj mieszkające nie zechcą się usuwać od rozpoczętego dzieła, że nie odmówią swego współudziału, zapisując się na członków „Stowarzyszenia Polek“.

Ofiary dobrych, pouczających książek polskich dla naszego księgozbioru są nam bardzo pożądane.

Przyszłe zebranie „Stowarzyszenia“ odbędzie się dnia 11-go maja o godz. 3½ po obiedzie w Münchzner-Bürgerbräu ulica pocztowa nr. 3. Wstępne wynoki 50 fen., miesięczna składka 20 fen.

Komitet
Stowarzyszenia Polek pod Op. św. Anny w Wrocławiu.“

— **Kolonia.** Towarzystwo polskie „Skała“ obchodzi w niedzielę, 4-go maja r. b., 18 tą rocznicę swego istnienia, połączoną z przedstawieniem amatorskiem na wielkiej sali „Overstolz'a“ Eigelstein nr. 51, na którą jaknajuprzejmiej Szan. Rodaków zaprasza

Zarząd.

Wstęp dla panów 50 fen., dla pań 25 fen. Początek o godz. 6-tej wieczorem.

— **Berlin.** Nadzwyczajne zebranie Tow. Polskich Ogrodników w Charlottenburgu, odbędzie się w środę, 7-go maja, wieczorem o pół do 9-tej w lokalu pana J. Gołąbka, przy ulicy Kaiser Friedrich nr. 73, na które wszystkich ogrodników z Berlina i okolicy zaprasza Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu M. St. W. No 333. odpowiadamy, iż nie mamy składek w ilości 4 mrk. zapisanych. Dla porządku rzeczy prosimy więc nam przysłać kwit pocztowy lub udowodnić w jaki inny sposób, aby pokwitowanie w przyszłym numerze „Pracy“ nastąpić mogło.

Wykaz składek
na fundusz wrzesiński.

(Uzupełnienie).

Z Grodziska: pp. Kajetańczyk Wawrzyn 50 f., Szajewski 50 f., Tomaszewski 50 f., Kaczmarek A. 50 f., Pieprzyk 50 f., Otto M. 50 f, Kosicki Walenty 1 m., Kaczmarek 20 f., Appelbaum 20 f., L pian X 50 f., Heyder Krust 25 f., Kosicki Maksymilian 20 f., Kalinowski Kazim. 50 f., Pinka w 66—50 f., Wacek 1 m, razem 7,35 m.

Z Tarnowa pod Poznaniem: pp. Stanisław Zawal 1 m., W. Jandy 1 m., Marcin Pulwicki 50 f., Ch. Turek 1 m., Fr. Pulwicki 25 f., Michał Gądek 50 f., Andrzej Czarny 50 f., Walenty Czarny 50 f., Andrzej Roszyk 50 f., J. Chrzanowski 1 m., razem 6,75 m.

Humorystyka.

KUJAWIAK.

Kiedy spojrzę w oczy twoje,
Dziewczyno!
Już niczego się nie boję,
W dal pierzchają niepokoje,
Raźniej myśli moje płyną,
Dziewczyno!...

Kiedy śmiech twój mnie doleci,
Dziewczyno!
Weselę się, niby dzieci,
Jaśniej słonko w niebie świeci
I słuchałbym wciąż cię ino,
Dziewczyno!

Kiedy rzekniesz słówko do mnie,
Dziewczyno!
Wtedy już ci całkiem po mnie,
W duszy błogo mi ogromnie,
A łzy mało nie popłyną,
Dziewczyno!...

Rzecz prosta.

— A więc przez całe trzy tygodnie bawiłeś pan na Saharze?... Cóżeś pan tam robił?...

— Com robił?... pociłem się po całych dniach. To przecie rzecz prosta!...

Próba miłości.

— Wszak prawda panie Kleofasie, że jest to zawsze zysk, jeżeli panienki umieją grać na fortepianie.

— O, niewątpliwie zysk dla nich, a przedewszystkiem rękojmia miłości.

— Jak to pan rozumiesz?

— Bardzo prosto, łaskawa pani. Jeżeli jaki młodzieniec żeni się z panną, pomimo tego, że ta grywa na fortepianie, jest to największa rękojmia gorącej i pełnej poświęcenia miłości.

W perfumeryi.

— Czy jednak ten środek jest zgoła nieszkodliwy?

— Przeciwnie, nawet jest niebezpieczny. Jeden z naszych klijentów farbował sobie nim włosy przez pół roku, a potem oświadczył się i ożenił z wdową, mającą troje dzieci.

W RESTAURACYI.

Gość: — Mój przyjacielu, zabierz sobie to masło... O, widzisz tutaj... włos! Zapewne kucharza lub pomywaczki.

Kelner (obrażony). — Przepraszam pana, ani kucharza, ani pomywaczki, bo to włos krowi. Kładziemy go zawsze w masło, ażeby goście wiedzieli, że nie dajemy im margaryny...

Czyja wina?

— Niech papa słucha: „Dusza naga w wszechjęku na tle zielonej rozwichrzonej wibracyi..."

— Przepraszam cię, ale ja tych waszych dzisiejszych nowych prądów w literaturze i sztuce nic a nic nie rozumiem.

— To trudno... to już papy wina; po co papa tak długo żyje?

Filip z Konopi.

Ktoś opowiada w towarzystwie o swojej wyprawie do Antypodów.

— Kraj ten całkiem przeciwległy co do pozycyi na globie: kiedy u nas dzień, to tam noc — i „vice versa."

A na to Gapski;

— Musiało to pana w pierwszych dniach nieco żenować... Nieprawdaż?

Święto (rzecz dzieje się w kantorze).

Urzędnik. — Szanowny panie pryncypale, czy mogę prosić o krótki urlop.. Teściowa mi nagle umarła...

Pryncypał (zirytowany). — Pan to sobie zawsze jakieś święto wynajdziesz..

U szewca.

— Podobno bogatemu bankierowi X. pan też robi buty — i dawno pan dla niego robi?

— O proszę pana, ja mu jeszcze robiłem buty, kiedy on bez butów chodził.

* * *

Niemiłe położenie.

Bankier: — Żałuję, ale córka moja nie zgadza się na to, by być pańską żoną.

Baron: — To zechciej pan przynajmniej... wypuścić mnie tylnemi drzwiami, bo u frontowych oczekują na mnie moi... wierzyciele.

Plamy na słońcu.

W kółku rodzinnem rozmawiają o plamach na słońcu. Do rozmowy wtrąca się nagle pięcioletnia Maniusia:

— Mamusiu, mamusiu! Mnie się zdaje, że słońce ma nie plamy, ale zwykłe piegi — od upału!

Wielki wybór tapet
od 15 fen. za rulon.

Rozety i drążki do firan.

Artykuły mężkie.

Kapelusze Krawaty



Kamizelki — białe i kolorowe

Rękawiczki Bielizne

poleca

W. HAHN
(właśc. Wład. Hahn) 304

Poznań, Stary Rynek nr. 55.

W obwodzie przemysłowym na Górnym Slązku jest

„tylko dla Polaka!“

jest dobrze prosperujący interes, **„mały Warenhaus“** pod bardzo korzystnemi warunkami od zaraz lub od 1 lipca do sprzedania.

Interes mój leży tuż obok kościoła, w centrum wsi, liczącej przeszło 8000 mieszkańców, narożnik, z trzema wielkiemi oknami wystawnemi, z elektrycznem oświetleniem, wodociągiem i obszernem pomieszkaniem parterowem.

W celu objęcia potrzeba 3½ do 5 tysięcy marek.

Łaskawe oferty upr. pod lit. *A. B. C. 1902* do ekspedycyi „Pracy.“ (371)

Pewna egzystencya dla Rodaka!
Interes wiktualny

połączony z obszerną sprzedażą mleka i wszelkich nabiałów, z maglą angielską, ewentualnie także z dobrze zaprowadzoną prasowalnią, bardzo dobrze się procentujący, jest z powodu nagłej zmiany stosunków właściciela zaraz przy przystępnych warunkach do sprzedania.

Poznań, ul. św. Wojciecha 22/24 w sklepie.

Niech każdy sam osądzi!

Tanio! Bez konkurencyi!

wysyłam moje znakomite cygara:

100	sztuk	nr.	27	mrk.	2,40
100	„	„	55	„	2,80
100	„	„	39	„	3,60
100	„	„	32	„	4,20
100	„	„	41	„	4,60
100	„	„	97	„	5,60
100	„	„	84	„	6,40

i inne do mrk. 20 za 100 sztuk, papierosy własnej fabrykacyi za 100 sztuk od mrk. 0,55 do 4,00 mrk. Wysyłka odwrotną pocztą! (233)

„Union“ wysyłkowy dom cygar.

Strzygłów (Striegau Schl.)

Dużo

oszczędza, kto cygara sprowadza z gnieźnieńskiej fabryki cygar 281

W celu uzyskania jak najwięcej odbiorców i stawienia wybitnej konkurencyi obcym fabrykatom, postanowiłem odtąd moje wyroby jeszcze *taniej sprzedawać*, niż do tego czasu. Na próbę polecam franko przez zaliczkę 1 paczkę pocztową zawierającą 100 cygar za mk. 2,40, 2,60, 3,00, 3,40 i 3,70, ***razem 500 szt. za 15 mk. 10 fen.***, lub: 100 cygar za mk. 2,50, 2,70, 3,20, 3,50 i 4,50 ***razem 500 szt. za 16 mk. 40 fen.*** Przy zamówieniu proszę zaznaczyć, czy się życzy mały, średni lub duży format i czy lekkie, średnie lub mocne. Jestem pewien, że zadowolnię każdego ponieważ wybór mam wielki.

P. URBANOWSKI
FABRYKA CYGAR, GNIEZNO.

Tanie książki!

Asem 40 f., Genowefa 40 f., Bolesław 50 f., Głos synogarlicy 1 m., Gawędziarz 50 f., Hirlanda 40 f., Historya o królewiczu 40 f., Historya o wiecznym żydzie 20 f., Jaskinia Beatusa 1 m., Koszyk kwiatów 50 f., Lampa czarodziejska 40 f., Listownik 50 f., Oracye 30 f., Przeraźliwe echo 60 f., Sąd ostateczny 40 f., Sybilla 40 f., Sowizdrzał 40 f., Śpiewnik polski 50 f., Toastnik 50 f. poleca 296

W. Fiałek w Chełmnie
(Culm Westpreussen.)

— Czemże się panu wywdzięczę za uratowane życie?

— O panie! niema o czem mówić. To taka drobnostka...

Karty okrętowe
z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.

poleca 358

Adam Spektorek
w Chodzieżu (Kolmar i Pr.).

Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia św. Rafaela, na czele którego stoją księża katoliccy, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

Stelmach

zdatny, żonaty, **z czeladnikiem** znajdzie posadę

w Dom. Słembowo
p. Podobowitz,

gdzie osobiście zgłosić się należy. 363

Pokój meblow.

z osobnem wyjściem ze stołowaniem do wynajęcia zaraz lub później.

Ul. Wiedeńska nr. 8
I piętro

Korzystne dla rodaków!

Pierwsza Poznańska parowa fabryka eterycznych olejków, essencyi i nietrujących farb,

M. Domagalski

Poznań-Rataje

Telefon 402. Telefon 402.

Poleca swe znakomite czyste wyroby do fabrykacyi wszelkich wódek i likworów:

Specyalności!

Esencya do Abrykotynki
„ „ *Nalewki*
„ „ *Karpatówki* 330
„ „ *Plewny*
„ „ *Żołądkowej (alpejska)*
„ „ *rumu i araku*
„ „ *Kujawiaka*
„ „ *Sokołówki*
„ „ *Litwinki (ruska)*
„ „ *czerwonego i żółtego wina.*

Recepta darmo!

Dla fabryk wód mineralnych poleca wszelkie *wodopłynne niemętne esencye* owocowe i musujące i t. d. Tak samo poleca swój wielki zapas w koniaku, araku, rumu, soki owocowe, gotowane z cukrem, jako to: malinowy, cytrynowy, wiśniowy i jagodowy po cenach umiarkowanych.

Usługa rzetelna. Cenniki darmo i franko.

Zdolnych zastępców poszukuje się wszędzie!

Puszki blaszane do szparagów.

Nożyce do szpalerów i róż.

Lodownie
(szafy do lodu) ulepszone go systemu. — Maszynki amerykańskie do wyrabiania lodów.

Żaluzye
drzewiane i rolesy sztabikowe do okien.

Meble
ogrodowe (krzesła, ławki stoły, fotele). — Krzesła trzcinowe, ściany drzewiane. Maszynki do koszenia trawników.

Wanny
do kąpieli nasiadowych, zwyczajne i bujane, bardzo praktyczne (Schaukelbadewannen do kąpieli potrzeba 30 litr. wody) po mk. 42 00 za sztukę, poleca

T. Otmianowski
właściciele: (607)

B. Ziętkiewicz — S. Mińcikiewicz.

Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.

Cenniki darmo i franko.

Dobry interes

na prowincyi w powiatowem mieście, dobrą okolicą, jest skład tow. krótkich i strojów, oraz bielizny, kapeluszy i konfekcyi męzkiej w najlepszem położeniu miasta zaraz lub później do odstąpienia. Zgłoszenia tylko piśmiennie pod lit. **S. T. 50** do eksp. „Pracy“. (364)

Jedyna polska restauracya
w Pile, Nowy Rynek nr. 5

Szanownym interesentom, podróżującym, polecam moją założoną *polską restauracyą, przy doborowych trunkach* jako i zaopatrzona *krajowem i zagranicznem piwem* podług umiarkowanych i bardzo przystępnych cenach. *Pokoje dla podróżujących.* (365)

Uprasza o poparcie
Teofil Drozdowski.

W. Stark,

Poznań, Rynek nr. 81,

poleca:

Świeżo nadeszłe

parasolki.

w wielkim wyborze.

Nowości w rękawiczkach:

Rękawiczki psie, ogrodowe
„ glansowane
z haftowaną mankietą w najnowszych kolorach.

Nowości w krawatach.

Parasole od deszczu i En-tout-cas.

Wyroby skórzane
jako to: 249
Portmonetki, woreczki i torebki do podróży.
Safianowe i jelonkowe poduszki.



Kazimierz Bączkiewicz

— pojazdnik —

w Poznaniu, ulica Strzelecka nr. 31.

poleca się do wykonywania wszelkich prac w zakres **pojazdnictwa** wchodzących przy *rzetelnej usłudze i cenach umiarkowanych.* 188

Gotowe pojazdy zawsze na składzie.

Szanownej Publiczności *Nakła i okolicy* donoszę uprzejmie, iż obok *handlu stroju* otworzyłam z pomocą panny biegłej w krawieczczyźnie, *szwalnią eleganckich* 372

sukien damskich.

Także polecam mój *bogato* zaopatrzony skład *najnowszych kapeluszy damskich, jedwabi, aksamitów, koronek i towarów krótkich.* Prosząc o łaskawe poparcie kreślę się
Z szacunkiem
Zofia Bartkowska, Nakło.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu 463
z zakładem wodoleczniczym.
Kuracye dyetetyczne.
Kuracye na schudnięcie i na utycie.
Kąpiele elektryczne świetlane (nowo urządzone). — Kąpiele wszelkiego rodzaju. Masaż, gimnastyka szwedzka, leczenie elektrycznością.

Dr. Żakrzewski. Dr. Panieński.

Do bólu zębów używaj tylko

Kropp'a watę

á fl. 50 fen. 162
(20% waty Carvacrol).
Tylko prawdziwa pod nazwiskiem „KROPP" w drogeryach u R. Barcikowskiego, Nowa ul., I. Czepczyńskiego, Stary Rynek 8, Klarowicza i Marcinkowskiego, plac Piotra, Teodora Müllera, Berlińska ul. 16, Br. Śniegockiego, Rycerska ul. 38, K. Chmielewski, Wrocławska ul. 14/15, P. Wolff, Pl. Wilhelmowski 3.

Na targu.

— Jakże możecie trzymać takie ryby? Ogromnie je czuć!

— My też, proszę pani, nie trzymamy, my je sprzedajemy...

Pannę

do wyszynku,

Ucznia

do handlu korzennego i delikatesów przyjmie

F. Krysiński

w Ostrowie 378
Ostrowo R.-B. Posen.

U Lekarza.

— Przedewszystkiem strzeż się pan alkoholu. Mnie samego alkohol nieledwie o pomieszanie zmysłów przyprawił.

Ucznia

syna uczciwych rodziców przyjmie do składu kolonialnego, destylacyi i cygar

W. Ziemniewicz,
374 **Jarocin.**

UCZNIA

przyjmie 380
Parowa destylacya
Marczyński & Klóskowski
Poznań, ul. Berlińska 15.

Złośliwość.

— Czy mam panu zaśpiewać coś smutnego?

— O nie!... i bez tego pani smutno śpiewa.

Ucznia

z lepszemi wiadomościami szkólnemi przyjmie

Józef Abt jun.

handel żelaza, tow. kolon., porcelany i szkła.
Śmigiel. 377

Hurtownie! Detalicznie!

Farby, pokosty, lakiery,

froter, masę woskową do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne szczotki i pendzle do tychże. **Carbolineum** koloru orzechow. Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie** 738

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,

Poznań, Stary Rynek nr. 8.



Telefon nr. 238.

J. Silski,

mistrz stolarski,

Poznań, ulica Wrocławska nr. 31

poleca swój

magazyn mebli

założ. w r. 1889, zaopatrzony *w meble własnego wyrobu,* znanej dobroci.
Kompletne wyprawy, osobne urządzenia pokojowe po nader niskich cenach i rzetelnej usłudze. Dogodna spłata ratami. 210

Odgadł.

Dozorca. Cóż panie robią nad morzem o tak późnej godzinie?

Damy. Czekamy, aż się ukaże gwiazda wieczorna...

Dozorca. Ależ ona dzisiaj... gra w wincie w kursalu! Sam widziałem.

Tylko z powodu śmierci

jest tanio do *sprzedania w Bojanowie* przy rynku w bardzo korzystnem położeniu

KAMIENICA

nadająca się do każdego interesu *przy zaliczce 6,000 mrk.* Bliższych wiadomości udziela
DOM BANKOWO - KOMISOWY
Drwęski & Langner
POZNAŃ, ulica Rycerska nr. 38

W. Niedbalski — Poznań,

ulica Rycerska nr. 1, narożnik pl. Wilhelm.

Skład tow. kolon., łakoci i win, winiarnia

poleca na zbliżające się święta 381
wszelkie artykuły do pieczenia, pomarańcze, cytryny i inne owoce połud., czekolady, kakao, biszkopty.

Wina, wódki, likwory, nalewki.

Ogromnie tanio!!

Owoce w puszkach n. p. 2 funt. puszka mirabelek 85 fen.
jarzyny „ „ 2 „ „ groszku młod. 45 fen.

Specyalność:
świeżo palone **kawy** od 80—2,00 m. za f.
herbaty od 2,00—6,00 m. za funt.

Urzędnik gosp.

kawaler, z wyższem wykształceniem szkólnem, znający dokładnie wszelką korespondencyą w obu językach krajowych, wolny od wojskowości, poszukuje samodzielnej posady lub pod dziedzica. Zgłoszenia uprasza się do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **St. K. 100.**

Gościniec

z przyległą salą i ogrodem przy szosie blizko miasta Ostrowa jest *zaraz do sprzedania* pod bardzo korzystnemi warunkami. 379

Bliższej wiadomości udzieli

J. Bogusławski w Ostrowie.

Kupno okolicznościowe.

Ca. 4 klm. od Poznania jest na **sprzedaż** piękna jednopiętrowa **wila** na suterenach o 8-miu pokojach etc. z ślicznym ca. 6 mg. parkiem, ogrodem warzywnym i szparagarnią. Przytem są kompletne budynki gospodarcze. Kupujący może zadzierżawić jeszcze 50 mg. roli po 10,50 mk., dzierżawa trwa jeszcze 6 lat. Prócz **wili** stoi w parku dom murowany o 8-miu mieszkaniach z osobnem wyjściem, przynoszący rocznie 540 mk. dzierżawy. **Wpłaty** potrzeba 10,000 mk. Zgłoszenia przyjmuje

Dom Bankowo-komisowy

Drwęski & Langner,

Poznań, ul. Rycerska 38.

Kapelusze

damskie i męzkie

Obuwie

Bieliznę

Krawaty

Pończochy

Rękawiczki

Parasolki

Parasole

Materye

na suknie,

pościele,

meble

Dywany

Dery

Kołdry

Firany

Szkło

Porcelana

Towary galanteryjne

Wózki

dla dzieci

Kosze

do podróży

i

1000

innych

przedmiotów

poleca

najtaniej

Szanownej Publiczności miasta **Gniezna** i okolicy pozwalamy sobie uniżenie donieść, że przejęłyśmy 368

magazyn stroji i towarów krótkich

pod firmą

H. & W. Mąke

i takowy nadal pod tą samą firmą prowadzić będziemy.

Prosząc o łaskawe poparcie, starać się będziemy Szanowną Klientelę pod każdym względem zadowolić.

Mając dostateczną i długoletnią praktykę poza sobą, jesteśmy w stanie wszelkim wymaganiom zadość uczynić, poczyniwszy osobiście w Berlinie zakupno **świeżych modeli, oraz wszelkich nowości sezonowych.**

Z wysokim szacunkiem

Jadw. Kmiecikowska. Felicya Orańska.

Gniezno, ul. Tumska nr. 5.

500,000 mk.

pieniędzy bankowych, ze strony banku **niewypowiedzialne**, po umiarkowanym procencie, pod korzystnemi warunkami w każdej wysokości jest do wypożyczenia na posiadłości w Poznaniu. Bliższych informacyi udzieli pod lit. **A. B. 38** administracya „Pracy“ w Poznaniu.

Stare dzieje.

Pani X. (przeglądając dzienniki mód z zeszłego miesiąca, do przyjaciółki): — Patrzaj moja kochana, jakie niemożliwe noszono „dawniej“ kapelusze!

Skład papieru i towarów galanteryjnych

dobrze zaprowadzony, w górnej części miasta, jest z powodu przejęcia innego interesu zaraz do sprzedania. — Egzystencya zapewniona. — Do przejęcia potrzebne 2500 do 3000 mk.

Łaskawe oferty uprasza się do eksp. „Pracy“ pod **R. R. 1010.** 357

W handlu win.

Gość (zwiedzając piwnicę): — Podziwiam bogactwo pańskiej piwnicy. Widzę że masz pan wina z każdorocznego winobrania.

Właściciel sklepu (uradowany): — A tutaj mam już nawet wino.. przyszłoroczne!

Kompletne narzędzia bednarskie

i

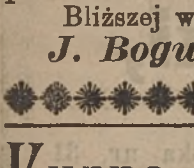
warsztaty

prawie nowe, tanio do nabycia. Zgłoszenia przyjmuje eksp. „Pracy“ pod lit. W. nr. 368. (368)

Meinel & Herold

Harmonikafabrik

Klingenthal (Sachsen) Nr.



versend. pr. Nachn anerkannt solid, **Concert-Zug-Harmonikas** ca. 34 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offener Klaviatur **verbess. Stahlfederung**, 3thl., (11flt.) Doppelbalg m. bess Metallschutzecken (Eckenschon.) Doppelbässer

10 Tast.,	2 chör.	2 Reg.,	50 Stim.	M.	**5.**—
10 „	3 „	3 „	70 „	„	**7.**50
10 „	4 „	4 „	90 „	„	**9.**50
21 „	2 mal 2 chör.,		108 „	„	**11.**—

Schule, Kiste umf. Port. extr. And. Harm (**85** versch. Nr.) bill. Illustr. Catalog frei. Wir bitten dringend, unsere Harmonikas nicht mit billiger offerirt. zu verwechseln Garantie: Zurücknahme u. Geld retour Ueber 3000 Dankschreiben.

K. Ignatowicz

Wrocławska ulica 4

Największy Dom Towarowy

w Poznaniu. 348

Proszę czytać!!

Biuro moje pod firmą

„Justitia“

założone od 5 lat znajduje się

Wiedeńska ul. nr. 8 I ptro.

Pośredniczy w wszelkich sprawach — ma wielki wybór służby dworskiej, dobrze poleconych i proszę o łaskawe zlecenia i poparcie mego interesu.

I. N. Szulc, W[illegible] r.